Warszawa, 7 Maja. Nr. 19. Rok V. Dnia 25 Kwietnia (7 Maja) 1887 r.

ROLA.

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie: Rocznie rs. 6.—Półrocznie rs. 3.—Kwartalnie rs. 1 k. 50.
W Królestwie i Cesarstwie: Rocznie rs. 8.—Półrocznie rs. 4.—Kwartalnie rs. 2.
W W. Ks. Poznańskiem: Rocznie marek 22.—Półrocznie marek 11.
W Galicyi: Rocznie złr. 12.—Półrocznie złr. 6.

PISMO TYGODNIOWE

POD REDAKCYĄ

Jana Jeleńskiego.

O dziełach nadsyłanych do Redakcyi, zamieszczają się recenzye.
Rękopisma nadsyane nie zwracają się.
Ogłoszenia do Roli przyjmuje się w Redakcyi po cenie 10 kop. za wiersz lub za jego miejsce. Reklamy po 20 kop. wiersz.
Adres Redakcyi. — Warszawa — Nowy-Świat Nr. 4.

GOSPODARKA FINANSISTÓW WARSZAWSKICH.

(SERYA III.)

VIII.

W jednym z artykułów, określających bliżej gospodarkę finansistów tutejszych na polu asekuracyi, wypowiedzieliśmy (Nr. 4 „Roli“ z r. b.) kilka uwag i o stanowisku, jakie tutaj zajmują t. z. delegaci funkcyonujących u nas prywatnych Towarzystw ubezpieczeń. Uwagi te wywołały replikę ze strony współpracownika Warszawskiego Towarzystwa ubezpieczeń, pana Józefa Jeziorańskiego, którą też z zasady bezstronności, pomieściliśmy w N-rach 10, 11 i 12 naszego pisma, jakkolwiek w artykułach naszych o Towarzystwie Warszawskiem nie było wcale mowy. Że zaś w replice tej nie znaleźliśmy wcale dowodów ani argumentów, któreby nas przekonały, iż w wywodach naszych o roli delegatów w sprawie asekuracyi popełniliśmy błąd, nie mogliśmy przeto repliki p. Jeziorańskiego pozostawić bez odpowiedzi, którą zamieściliśmy znowu w N-rze 13-tym „Roli“ z r. b. I ta przecież odpowiedź wywołała niezadowolenie ze strony sz. naszego oponenta, które ujawnił on też w nowej swojej replice, pomieszczonej w N-rze 110-tym „Kuryera Warszawskiego“.

Taki jest przebieg polemiki w sprawie prywatnych Towarzystw asekuracyjnych i ich delegatów, którą na tych replikach wzajemnych możnaby było ostatecznie zakończyć, gdyby nie jedna, nader ważna okoliczność, jaka w polemice tej zaszła. Repliki pana Jeziorańskiego, zamiast rozjaśnić, zaciemniły do pewnego stopnia kwestyę — i to nas zniewoliło do oświetlenia jej z innej jeszcze strony, a zarazem do wypowiedzenia o roli delegatów całej już prawdy.

Pan Jeziorański, jak to i w poprzedniej odpowiedzi naszej zaznaczyliśmy, usiłuje przekonać społeczeństwo, że prywatne Towarzystwa ogniowe, to nie przedsiębierstwa operujące w celu osiągnięcia możliwie dużych zysków, lecz ofiary poświęceń — poświęceń dobrowolnych — dla naszego ziemiaństwa. Według pana J., Towarzystwa asekuracyjne są tak dalece przejęte dla rolnictwa uczuciami idealnej przyjaźni, że nietylko nie uganiają się za zyskami, lecz przeciwnie, ponoszą straty, a delegaci, to istne dobre duchy owych wszystkich dobrodziejstw spływających na ogół ubezpieczonych właścicieli ziemskich.

Jaką jest siła logiki w dowodzeniu tych poświęceń i „strat“, widzieliśmy to już w odpowiedzi naszej, danej p. Jeziorańskiemu w N-rze 13-tym. Widzieliśmy tam, że tenże sam sz. oponent, który aż w dwóch artykułach dowodzi i przekonywa, że ubezpieczenia rolne nie są, bynajmniej, dla Towarzystw ogniowych interesem korzystnym, że przeciwnie, dają tylko straty, — w trzecim, chcąc przyłożyć pieczęć na prawdziwości tych ofiar i poświęceń, oświadcza, że sam zwrot połowy zysków, osiągniętych przez Towarzystwo Warszawskie, wynosił sto tysięcy rubli!

Nie potrzebujemy przeto zbijać tej żarliwej obrony gospodarki finansistów warszawskich w zakresie ubezpieczeń, gdyż ona zbija się sama, — gdyż, mimo całych kolumn cyfr, jakiemi kompetentny oponent usiłuje imponować nam, profanom w rzeczach asekuracyi, nikt z ludzi posiadających najelementarniejszą bodaj zdolność myślenia nie uwierzy, iżby ze strat mogły rodzić się zyski, i to zyski takie, że aż niemi dzielić się można.

Inna przecież rzecz, gdy idzie o stanowisko delegatów. Tu już sz. p. Jeziorański broni wprawdzie stanowiska tego, ale tylko w tytułach swoich replik sążnistych. W treści bowiem, oprócz frazesów, że „zapraszanie ziemian“ na delegatów ma na celu dobro samych ziemian, i t. p. — nic widzimy nic więcej. Niema tu ani jednego argumentu, któryby ludzi stojących po za sferą interesów ubezpieczeniowych, o pożyteczności — dla sprawy ogółu ubezpieczonych — delegatów mógł naprawdę przekonać, podczas gdy my („Rola“ Nr. 4 z r. b.) tylko siłą faktów dowiedliśmy ich prostej szkodliwości, polegającej przedewszystkiem na osłanianiu eksploatacyi i wyzysku ziemian, pozorami kontroli dla dobra tychże ziemian i — na zamydlaniu tym sposobem oczu opinii publicznej.

Takie jest przekonanie nasze, i przekonanie to staraliśmy się uzasadnić, powtarzamy, — faktami. Jeźli zaś te fakta nie były jeszcze dość wyraźne i jasne, to nie pozostaje nam, jak przyzwać na pomoc takie, co do których nawet p. Jeziorański nie miałby wątpliwości. A więc:

Któż z ziemian naszych nie wzdychał i nie wzdycha dziś jeszcze do Towarzystwa ubezpieczeń opartego na wzajemności, do instytucyi takiej, jaką jest np., wzorowo, z olbrzymim dla stowarzyszonych pożytkiem, choć bez pomocy „finansistów fachowych“ prowadzone Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń — Krakowskie? Był też, w swoim czasie, projekt takiego Towarzystwa przedmiotem nader żywej agitacyi wpośród sfer ziemiańskich, był on nawet „opracowywanym“ w Towarzystwie kredytowem ziemskiem, była wreszcie wszelka niemal nadzieja, że przy zabiegach i staraniach tegoż Towarzystwa, stanie się faktem dokonanym, czyli że w ten sposób położoną zostanie najskuteczniejsza tama wyzyskowi rolników przez przedsiębierstwa prywatne, lecz, niestety, projekt ten — przepadł.

Dlaczego? Bo finansiści postarali się o to, a jednym z objawów tych starań było właśnie „zaproszenie na dele-

gatów“ osobistości z grona wybieralnych władz Towarz. kred. ziemsk., t. j. z grona radców. Finansiści zrozumieli to dobrze, że utworzenie tych „posad“ będzie piorunochronem wobec groźnej dla nich chmury... Towarzystwa ubezpieczeń wzajemnych, i — nie zawiedli się.

Wobec projektu, którego się zlękli „podskarbiowie narodu“, a którego urzeczywistnienia tak gorąco pragnął ogół ziemiaństwa, potrzeba było koniecznie wybrać jedno z dwojga: albo miejsca delegatów przy Towarzystwach prywatnych, albo n i e z a l e ż n o ś ć i z nią swobodę dalszych starań, w celu przyprowadzenia do skutku ubezpieczeń wzajemnych. Niestety, wybrano pierwsze, i projektu nie było już właściwie komu ani popierać, popierać i popierać, ani też przedstawiać go w formie m o ż l i w e j... do przeprowadzenia.

Miejmy odwagę powiedzieć sobie prawdę: nad pracę i zabiegi dla dobra ogółu współziemian i mandataryuszów, oceniono wyżej wygodne, bądź co bądź, synekury w przedsiębierstwach prywatnych — i jeżeli na historyi Towarzystwa kredytowego ziemskiego zaciąży jakieś przykre wspomnienie, to będzie niem przedewszystkiem przyjmowanie przez radców tej poważnej i ze wszech miar szanownej instytucyi, miejsc płatnych w interesach — mówmy szczerze — żydowskich.

A nie jest to ani wyłączna ani tendencyjna opinia nasza. Podziela ją widocznie ogół ziemian, skoro przed kilkoma laty, przy wyborach do władz Tow. kred. ziemsk., postawiono wyraźnie za warunek, „aby członkowie tych władz nie zajmowali żadnych miejsc w prywatnych Towarzystwach asekuracyjnych“. Mimo rozbicia i odosobnienia, jakie panuje w naszym stanie rolniczym, wyborcy zrozumieli się przecież i przeczuli wzajemnie, przemawiając zgodnie do przedstawicieli swoich interesów w jedynej swojej instytucyi: wybierajcie albo służbę obywatelską—naszej wspólnej sprawie, albo też służbę Molochowi, lecz nigdy razem jednę i drugą, gdyż one pogodzić się nie dadzą.

Przy agitacyi koteryj i osób, warunkiem tym zagrożonych, zatarł on się i znikł w chaosie prywaty, a delegaci, zajmujący stanowiska stróżów i opiekunów dobra swych wyborców, pełnią w dalszym ciągu rolę owych piorunochronów, strzegących bezpieczeństwa prywatnych przedsiębierstw asekuracyjnych — przed możliwością przyprowadzenia do skutku Towarzystwa konkurencyjnego.

Takiem jest, ostatecznie, zapatrywanie się nasze na stanowisko delegatów w prywatnych instytucyach ubezpieczeniowych. Jeźli nas p. Jeziorański, czy ktokolwiek z oponentów naszych przekona, że jesteśmy w błędzie, jeżeli ktoś dowiedzie nam f a k t a m i, że zajmowanie miejsc t. z. delegatów w Towarzystwach prywatnych przez osobistości piastujące urzędy z wyboru w Towarz. kredyt. ziemskiem, n i e p r z e s z k a d z a wytworzeniu się s z c z e r e j i skutecznej inicyatywy z celem powołania do życia tyle upragnionej instytucyi u b e z p i e c z e ń w z a j e m n y c h, w takim razie uderzymy się w piersi. Dopóki jednak szanowni obrońcy gospodarki finansistów warszawskich, a nasi przeciwnicy tego nam nie dowiodą, dopóty nie przestaniemy utrzymywać, że samo istnienie delegatów, czyli, co na jedno wychodzi, osłanianie prywatnego wyzysku, świadomie czy bezwiednie, firmami szlacheckiemi, ogółowi ziemian przynosi nie korzyści — lecz krzywdę, a społeczeństwu niesławę. (d. n.)

LUD
W ŚWIETLE JEGO RZECZNIKÓW.

(Dokończenie.)

Najpierw tedy, według tych pisarzy, winno duchowieństwo, iż „wydziera ostatni grosz chłopu, a w zamian za to, pod grozą kar piekielnych, wpaja w lud ciemnotę, zabobony“, że mu nie daje „rozbudzić się“, „przejrzeć“ i t. p. Sprzeczać się o sąd tak apriorystycznie postawiony trudno, tembardziej, iż owi pisarze liberalni opowiadają o takich faktach, jak np. „powieszenie się chłopa na postronku, na którym przywiódł proboszczowi ostatnią krowinę, za pochowanie zmarłego, ukochanego dziecięcia“ (!!) i t. d. !

Wszakże dziwi nas jedno: czemu ci panowie pisarze nie zwrócą uwagi, jeźli już nie na swoją bezczelność w rozsiewaniu tych kłamstw, to przynajmniej na prawa i reguły, obowiązujące proboszczów w stosunkach z ludem, i na wykonywanie tychże praw, przestrzegane przez odnośne władze duchowne. Bo że to przestrzeganie jest pilnem i ścisłem, wie o tem każdy, kto zadał sobie trud odczytania uważnie bodajby kilku tylko wzniosłych listów pasterskich, pisanych przez Biskupów do duchowieństwa i dyecezyan.

Mieliśmy już sposobność wykazać, że owi proboszczowie to wcale nie takie potwory krwiożercze, za jakich możnaby ich brać z owych prac, snutych na tle „ludowem“; wszakże pisarzom *od* tych „prac“ (!) wskazalibyśmy jeszcze jedno źródło, któreby ich oświecić mogło, a mianowicie archiwa konsystorskie, obejmujące „skargi“ (!) n i e s z c z ę ś l i w e g o l u d u (!) na swych proboszczów. Skargi te prawie n i g d y nie zawierają w sobie nic ciekawego ani... sen-

Przez Dolinę Łez.

POWIEŚĆ

Józefa Rogosza.

(Dalszy ciąg).

— Wierz mi, Stachu, to głupstwo — odrzekł brat ciszej. To ten łotr Mendel z Radomia, który jeszcze od naszego ojca zboże kupował, chcąc mi dokuczyć sprowadził komisyę, chociaż niedawno dał mi, ten tego, słowo honoru, że mi poczeka i skarżyć nie będzie... Ale ja łotra nauczę rozumu! Zobaczy, ten tego, z kim ma do czynienia i poczemu łokieć... A to łotr!

— Ileś mu winien?

— Głupstwo... kilka tysięcy...

— Inni nie skarżyli?

— Jeszcze kilku, same łotry... ale jakoś to będzie!... Już ja ich zapłacę...

— A Towarzystwu także zapłacisz?

— Pewnie... czyż to ja myślę kogokolwiek oszukać?!

Powiedziawszy to, podniósł głowę do góry, jakby się czuł obrażonym. Brat, nie zwracając na to uwagi, ciągnął dalej spokojnie:

— A gdzie pieniądze na zaspokojenie tych wszystkich należytości?

— Będą, jak cię kocham, będą... Gorzej już bywało, a przecież, ten tego, nic mi nie zrobili... Dyabeł nie taki czarny, jak go malują! Jakoś to będzie...

Pan Stanisław potrząsł głową.

— Słuszność miał mecenas mówiąc, że postępujesz jak dziecko.

— Jaki mecenas?

— Ten sam, który od lat kilkunastu twoje interesa prowadzi. Przeczuwając coś złego, pojechałem go odwiedzić i, niestety, dowiedziałem się rzeczy okropnych. Posłuchaj...

Rzekłszy to, usiadł i, powoli, słowo po słowie, popierając wszystko notatkami, które przywiózł z Warszawy, opowiedział bratu całe jego położenie, nic w bawełnę nie obwijając. Myślał, że Ludwik się przerazi, że będzie rozpaczał — bynajmniej. Zamiast uledz wobec ogromu nieszczęścia, porwał się na równe nogi, a zacisnąwszy pięście, zawołał:

— I to wszystko powiedział ci mój adwokat?

— Tak jest, byłem u niego trzy razy.

— I on śmiał ci to mówić? A łotr, a rozbójnik! Ja mu za to zapłacę, żeby mnie oczerniał, żeby mego brata przerażał! A łotrze, dam ja tobie! Wyzwę, jak Boga kocham, wyzwę i jak psa zastrzelę! A to hajdamak! a to rozbójnik!

sacyjnego. Zwykle chodzi w nich o to, że proboszcz „cicho śpiewa“, że gromi złe ostro na kazaniu, że „ślubów nie daje w niedzielę“ i t. d., przyczem „skargi“ kończą się prośbą, aby do parafii przysłać na proboszcza „innego kanonika“.

Jest to nietylko pouczający ale i wymowny dowód, że ów „biedny chłopek“ nie jęczy w takiej „strasznej niewoli“, ze nie jest taki „przygnębiony“, jeżeli potrafi się nietylko o słuszne, ale nawet o urojone prawa dopominać. Cóż to jednakże wszystko znaczy, kiedy u nas jest taki... zwyczaj, że pisząc o ludzie, zna się wszystko, oprócz ludu i tego, co z ludem ma stosunek najbliższy!

Idźmy dalej. Drugiem „nieszczęściem“ chłopa jest dwór. Jest to nieszczęście przedewszystkiem idealnej natury.

Wyobraź sobie, czytelniku, noc letnią, księżycową; wyobraź sobie, że na skrzydłach ptaka unosisz się ponad cichemi siołami. Jest cicho i spokojnie po siołach, tylko coś po lesie huka i zawodzi, coś po stawach i jeziorach pluska się bez celu, po łąkach świecą błędne ogniki. Wszakże nie myśl, broń Boże, że to prosta kradzież w lesie, lub pokątne łapanie ryb w stawie,—że to pastuch ogień rozpalił.

To wcale co innego — uzbrój się w wyobraźnię ludu. Jezioro pluska od szumu pływających dusz tych nieszczęśliwych ofiar, co „w śmiertelnej kąpieli chciały obmyć swą hańbę, jaka napiętnowała ich dziewicze czoła“. Ten szum w lesie, to echo gawędy sękatych sosen, na których z tytułu właśnie owych dusz, poobwieszali się zrozpaczeni ojcowie (!). Te ognie po łące, to właśnie dusze zbrodniarzy, którzy także z tytułu kąpiących się dusz w jeziorze, będą pokutowali aż do końca świata.

A wiesz, czytelniku, co to są za dusze?

To dusze „lepszego gatunku“, dusze występnych panicząw, którzy tego wszystkiego byli przyczyną. Inaczej mówiąc, to smutna, tendencyjna idea (!), dająca się streścić w kilku wyrazach: dwór rozsiewał niemoralność między ludem, nie bacząc na ofiary, dwór deptał lekkomyślnie najświętsze uczucia ludu. Drażliwej to rzecz natury, wszakże nie taka, aby się jej już i dotknąć nie można.

Nie zdarzyło nam się nigdy czytać „realistycznego opisu“ brudnej jaskini, znanej w każdem miasteczku, a mającej nad drzwiami napis: „szynk“.

Tam to nietylko gorzałka zabija, nietylko prowadzi się handel kradzionemi rzeczami, ale dzieją się historye, przy których ponurym blasku możnaby było zupełnie, zupełnie co innego zobaczyć w owej legendowej moralności ludu.

Tam to dopiero dzieją się wstrętne handle, szatańskie podstępy, tam to, i po co ukrywać, otwierają się szerokie upusty uczuciom, nie mającym nic wspólnego z uciśnioną niewinnością, ze zdeptaniem najszlachetniejszych uczuć w duszach córludu.

Niby to takie proste, a jakoś tego... przez dzisiejszych rzeczników i obrońców ludu, nie wzięto w rachubę. Dlaczego? Wszak wiadomo jest wszystkim, że moralność włościan upada strasznie w okolicach podmiejskich, fabrycznych — a jednak, zamiast pomyśleć o tem poważnie i wskazać środki ratunku, obrońcy „uciśnionych“ uznali za stosowne opowiedzieć kilka tuzinów nieprawdopodobnych bajeczek o nieszczęśliwych istotach, szukających ulgi w samobójstwie. Zwrócili ci panowie uwagę na inny punkt, a gdy tam gołem okiem rozsądku nic się dostrzedz nie dało, dali czytelnikom w rękę mikroskopy o soczewkach łamiących czyste światło prawdy na wszystkie możliwe barwy fantazyi, i w tych barwach czytelnicy robili sobie analizy spektralne, szukając w czystem świetle chłopsko-dziewiczej doli pierwiastków kosmiczno-szlacheckiego pochodzenia. Lecz idźmy dalej jeszcze.

Tendencya ludowo-naturalistyczna w niczem się tak nie lubuje, jak w chłopskiej niedoli, a najczystszą perłą tej niedoli jest robota we dworze.

Okropne widoki. Dzieciny drobne, zziębnięte, wygrzebują kartofle, drepcząc po zmarzłej grudzie bosemi nożynami! Kobiety, schylone do samej ziemi, przez dzień cały, bez wypoczynku, zbierają pańskie kłosy! Chłop pracuje, jak bydlę, dźwiga nad siły i t. p.

I cóż lud popycha do tej niewolniczej, bydlęcej pracy? Nędza, odpowiadają rzecznicy ludu, z jednej, a surowe okrucieństwo panów z drugiej strony.

Możnaby wszakże posłyszeć, wśród tej ciężkiej pracy, i śpiew i gwarną rozmowę, możnaby i żarty zobaczyć nie całkiem licujące z opłakaną dolą, ale może to kwestya naturalistycznego gustu...

Nas wszakże jedna rzecz zaciekawia: czy mianowicie owi „badacze życia ludu“ czytują kiedy gazety? Chyba tak; a więc jak rok niemal długi, czytamy tam takie wiadomości:

„Z powodu braku robotnika, sprzęt zboża opóźni się, z wielką stratą gospodarstw“ — „wyjątkowe warunki zbiorów wpłynęły na znaczne podwyższenie cen robocizny“ i t. p.

Niby to nic, wszakże wypływa ztąd jedna prawda niezbita, że najemnika do roboty nie pędzi nędza, jeno dobra wola, że raczej ów dwór jest zależny od robotnika, nie zaś robotnik od niego.

A jednak wśród ludu bywa nędza i wielka nieraz nędza, tylko właśnie nie tam, gdzie ją ci panowie widzą. Jest nędza, ale jej źródło w lenistwie, w chciwości na większy niby zarobek, czyli w zaprzedawaniu się dobrowolnem w niewolę fabryczną, w wyzysk żydowski, prowadzący do nędzy i upodlenia.

Nie przeczymy: „caveant consules“ w odnośnej kwestyi i dziś można powiedzieć; — nędza ludu jest blizką, bardzo blizką, zapewne, tylko, na Boga! — nie tam, gdzie ją widzą mistrze naturalizmu a mistrzynie zwłaszcza.

Jak czytelnik osądził zapewne z założenia, mógłbym już tutaj przerwać szare dumania moje, sumienie jednak nie pozwala mi przemilczeć rzeczy jednej— korony elukubracyj

---

Choćby mi był nawet wrogiem, powinienby mnie jeszcze szanować! Nie daruję, jak Boga kocham, nie daruję! Wyzwę i jak psa zastrzelę!

Pan Stanisław wysłuchał potoku słów gwałtownych; dopiero gdy brat, zasapawszy się należycie, jednego słowa więcej nie mógł z siebie wydobyć, tak przemówił:

— Otóż to logika! Ten kto nas ostrzega, kto nam radzi najlepiej, jest naszym wrogiem. Zaiste, ja tego nie rozumiem... Przecie mecenas ostrzegając cię chciał twego dobra, nie zguby. Gdybyś był dawniej jego rad słuchał, dziś nie bylibyśmy obadwa w takiem nieszczęściu.

— Może i racya — przerwał pan Ludwik.

— Pewnie że racya... Ludwiku! Ludwiku! — zawołał ręce ku niemu wyciągając — czemużeś mi wszystkiego dawniej nie powiedział?

— Nie wiedziałem, jak Boga kocham, nie wiedziałem— odrzekł pan Ludwik — ale, nie bój się Stachu, nie, jakoś to jeszcze będzie.

— Będzie, pewnie że będzie, ale gorzej. Temi dniami Towarzystwo obłoży Piławice sekwestrem, a my chyba o kiju wyjdziemy. Tego mój bracie doczekałem się na stare lata!

— Nie mów tak Stachu, nie mów! bo mi serce pęknie! —błagał przez łzy prawie.

— Gdybyś mi był choć zostawił ten mały kapitalik, który z Indyj przywiozłem, byłbym żył jakoś... nędznie, prawda, ale niezawiśle. Tymczasem dziś jestem ogołocony ze wszystkiego. Biedna Wandzia!

— Nie mów tak Stachu, nie mów! — ryknął pan Ludwik głośnym płaczem i bratu do nóg upadł. — Ja widzę, żem nie wart żyć, żem łotr! Ja was okradłem, zrabowałem, ale Bóg mi świadkiem, że anim przypuszczał, by tak źle było!... Ale ja się poprawię, ja was nie opuszczę, ja będę na was pracował... Będę drzewo rąbał, wodę nosił, wszystko zrobię! Tylko nie mów tak Stachu, bo mi serce pęknie!

I nachylił się chcąc brata w nogi pocałować. Pan Stanisław ledwie go wstrzymał i sam rozrzewniony, zwiesił mu się na szyi. W tej chwili we drzwiach pokazała się Wandzia. Rozmowa między ojcem a stryjem, toczyła się tak głośno, że rada nierada, musiała ją słyszeć. Długo walczyła z sobą, w końcu miłość dla ojca i przywiązanie do jego brata odniosło nad nią zwycięztwo. Wbiegła do pokoju, a klękając między nimi, rzekła:

— Nie martw się ojcze! nie martw się stryju! Ja na was będę pracowała, a Bóg mnie wspomoże!

Głośne łkania położyły kres dalszej rozmowie.

Pan Stanisław powstał spokojny, on już bratu przebaczył... Wszak Ludwik miał złote serce, jeżeli więc błądził, to jedynie przez lekkomyślność, która tkwiła w jego naturze. A czyż on winien, że z nią na świat przyszedł, i że

naszych pisarzy, traktujących o ludzie: serca chłopskiego i chłopskiej poezyi.

Czy chłop ma serce?— zapytajmy o to D-ra Chałubińskiego; czy w tem sercu tkwią niewyczerpane zasoby poezyi, niewygasły ogień szlachetnego porywu uczuć, unoszący chłopa po za ciasny widnokrąg jego codziennych potrzeb i cierpień? — spytajmy Lenartowicza, ale, na miły Bóg, nie pytajmy dzisiejszych naszego ludu rzeczników.

Czytajcie „poezye“, „nowelki“. Cóż tam częstszego nad opowieść o pękniętem sercu chłopskiem. Lekarz się uśmiechnie na to opowiadanie, nie-lekarz pogrąży się w smutną zadumę. Tak — sercu pęknąć nie łatwo; tak — sercu trzeba strasznych wrażeń, aby pękło,—wrażeń Filipa po rozbiciu niezwyciężonej armady.

Chłop ma serce i poezya w nim żyje, ale, przez Bóg żywy, nie taka, jaką ją chcą mieć jego rzecznicy. To nie poezya niedoli, przygnębienia, nienawiści, ale poezya uczuć ludzkich, zapału dla tego, co dobre i piękne.

Gdzie tej poezyi szukać? — Ano, między ludem p o z n a n y m i o c e n i o n y m *p r a w d z i w i e* — w jego pieśniach i czynach, ale nigdy w nieprawdopodobnych i naciąganych sytuacyach.

Tu już, darujcie czytelnicy, kres mojej opowieści.

Może nie dałem wam obrazu ludu, jakim on jest, lecz przynajmniej zwróciłem uwagę waszą, że ani optymizm, ani naturalistyczne elukubracye, ani tendencya tego obrazu wam nie da. Dać go może tylko znajomość głęboka, obserwacya ścisła, praca wytrwała; tego się też od rzeczników ludu macie prawo domagać.

B. J.

FRANCYA ZŻYDZIAŁA.

STUDYUM Z HISTORYI WSPÓŁCZESNEJ

przez **Edwarda Drumont.**

(Dalszy ciąg.)

Przeszkody te nie były tego rodzaju aby powstrzymać żydów żądnych zrobić interes. Pewien były dygnitarz z 4 Września, u którego Cambon był sekretarzem, podjął się, za przyzwoite wynagrodzenie, to się samo z siebie rozumie, usposobić go przychylnie dla pretensyj Mustafy. Cambon oświadczył, iż potrzebuje koniecznie, aby mu przysłano jaką figurę polityczną francuzką, mocno wpływową a mało skrupulatną, którąby mu pomagała wywrzeć nacisk na beja.

Floquet naturalnie został przeznaczony do tej roli i pojechał do Tunisu dla popierania tego brudnego procesu, który Mustafa przegrał już był przed trybunałem *Charaa*, jedynym kompetentnym w sprawach tego rodzaju.

Cambon miał teraz łatwą grę. „Widzisz — rzekł do beja — prezes izby sam interesuje się tą kwestyą, jeźli nie ustąpisz, spotka cię nieszczęście i zostaniesz zdetronizowany. Nie masz nic lepszego do zrobienia, jak wziąć za arbitra człowieka uczciwego, obcego całej tej sprawie, republikanina bezinteresownego i zacnego... cnotliwego Naquet'a.“

Wszystko szło jak najlepiej i na podstawie statutu, złożonego u p. Dupuy, notaryusza, pod datą 24 Marca 1885, stanowczo ukonstytuowane zostało Towarzystwo ziemskie tunetańskie, które między założycielami swymi liczyło prawie samych żydów, a mianowicie pp. Gery, Thors, Sautter de Beauregard, Bloch, Volterra, Rey, Levy, Cesana i Mustafa ben Izmail.

Niebawem jednak ukazał się nowy punkt czarny. Ów dygnitarz z 4 Września przekonawszy się, że Cambon wszystko zabrał sobie, a jemu nic nie zostawił, opowiedział długo i szeroko te wszystkie szacherki w Figarze. Wtedy dał się słyszeć przez jakiś czas najzabawniejszy duet jaki sobie wyobrazić można, między „Latarnią“ a „Figarem“. „Latarnia“ wychwalała bezustannie nieposzlakowany charakter Floquet'a, twierdząc, że urzędnik taki jak Cambon, dający się użyć do podobnych szacherek, jest najnikczemniejszym zdziercą. „Figaro“, nie broniąc Cambon'a, utrzymywało poniekąd słusznie, że hańbą jest dla Floquet'a wstawiać się za tym Mustafą, który tak długo służył za d e l i c i a e d o m i n i, i że tym sposobem zbezcześcił nietylko siebie—o co najmniejsza—ale izbę francuzką, której był wówczas wiceprezesem, a później miał zostać prezesem.

Oba dzienniki miały racyę: pierwszy co się tyczy Cambona, drugi co do Floquet'a. Wprawdzie nieraz, pod pozorem cywilizacyi, zdzierano w okrutny sposób ludy niby to barbarzyńskie, ale nigdy łupieżcy nie rzucali się na kraj jakiś z taką drapieżnością, nigdy ludzie polityczni nie dawali się bezczelniej przekupywać; nigdy nie było faktów nikczemniejszych nad te, dla których prasa zmuszona była otworzyć oddzielną rubrykę p. t. „Fetory z Tunisu“ („Les Odeurs de Tunis“).

Zaznaczyć jeszcze należy cierpienia, na jakie narażeni zostali nasi żołnierze dla tego jedynie, aby żydzi mogli dokonać swoich niecnych operacyj.

Wyprawie tej brakło tylko kronikarza-malarza, na podobieństwo Fromentin'a, któryby opisał niewypowiedziane męczarnie tej wojny, prowadzonej jedynie w celu napędzenia pieniędzy giełdziarzom.

Któż nie czuł jak mu się zaciskają pięści, słuchając opowiadania oficera o tym marszu w kolumnach, pod niebem spiżowem, bez drzewka na widnokręgu, bez śladu źródła, z pustynią o kilka kroków! Wodę prowadzono na wielbłądach, która niekiedy pozostawała w tyle o jakie trzy albo cztery mile i przybywała na miejsce gorąca, spleśniała. Nagle jakiś człowiek wymawia wyrazy bez związku, zaczyna się śmiać na całe gardło — zwaryował! Inny pada niespodzianie, jak masa bezwładna; drudzy biegną ku niemu — nie żyje!.. Trumnę improwizują naprędce ze skrzyń od sucha-

---

później nikt jej z niego nie wykorzenił? A jak Bóg przez miłość świat odkupił, tak i człowiek przez dobre serce może odkupić winy swoje. Wszak wiara każe odpuszczać grzechy temu kto żałuje. Szlachetny nie rzuci więc kamieniem na zbłąkanego, jeżeli ten ma dobre serce.

XXIII.

Przyzwyczajony do zmiennych losu kolei, pan Stanisław dowiedziawszy się w Warszawie od mecenasa, czego w najbliższej przyszłości powinien oczekiwać, zamiast oddać się zwątpieniu lub rozpaczy, zaczął raczej przemyśliwać nad środkami, mogącemi go ochronić od dalszych rozczarowań.

Rada mecenasa, by coprędzej wyszukał sobie jaką posadę, wydała mu się bardzo dobrą, i tylko ta jedna trudność zachodziła, że nie sposobiąc się w życiu do żadnego zawodu i będąc tak z zamiłowania, jak z powołania tylko gospodarzem, mógł chyba starać się o posadę rządcy. U kogo jednak szukać miejsca? Czy zostać w Królestwie, czy gdzie indziej wyjechać? Oto pytanie, które go najbardziej trapiło. Chętnie byłby przystał na suchy kawałek chleba, byle niezawisły. Jeżeli zaś postanowił pójść w służbę, czynił to jedynie dla Wandzi, której przecie bez pomocy nie mógł zostawić.

Rozważywszy wszystko, poszedł od adwokata prosto do hrabiny K. i tej opowiedział całe położenie, prosząc o radę. Staruszka szczerze ubolewała nad losem kuzyna i nieskończenie była mu wdzięczną, że chąc przyjąć obowiązek rządcy, zamierzał wyjechać z Królestwa... Wprawdzie hrabina mogła była znaleźć drogę najlepszą, płacąc długi pana Ludwika, co jej, osobie bogatej i bezdzietnej, nie byłoby wielkiego uszczerbku zrobiło, lecz pan Stanisław ani pomyślał o tem, wiedząc że kuzynka należała do najbardziej skąpych ludzi pod słońcem.

Gdy tak rozmawiali, hrabina nagle sobie przypomniała, że zna bardzo dobrze, księżnę, mieszkającą we Lwowie, której mąż stał na czele Towarzystw, zajmujących się w Galicyi budową dróg żelaznych. Jeżeli kto, to książę mógłby zatem dać odpowiednią posadę p. Stanisławowi, który władając dobrze kilkoma językami, oddawał by przy kolei wielkie usługi. Uszczęśliwiona tą myślą, napisała zaraz list polecający do księżnej, który kuzynowi wręczyła. P. Stanisław wracając tedy do Piławic, dobrze już wiedział, co wkrótce uczyni.

(Dalszy ciąg nastąpi)

rów i grzebią nieszczęśliwego w piasku, z którego na drugą noc wygrzebią go szakale. Czasem kapitan odczyta De profundis i na tem koniec... Masonerya nie pozwoliła generałowi Farre dodać wyprawie jałmużników!

Każdy żołnierz, który się odłączy od korpusu, jest zgubiony. Wzięty w niewolę, zostaje oddany do zabawki kobietom arabskim, które zamęczają go powolną śmiercią, wbijając mu w ciało igły w ogniu rozpalone. Jeden z moich krewnych, który wrócił napół umarły z tej wyprawy, opowiadał mi o straszliwem wrażeniu, jakiego doznał na widok podoficera od pociągu, którego poznać było niepodobna. Nieszczęśliwy miał oczy wydarte, uszy obcięte, inne członki straszliwie okaleczone, i napróżno usiłował napisać nazwisko swoje ołówkiem, który mu włożono w rękę. Cóż to za obraz dla mściwego pióra wielkiego pisarza!

Żyd — generał Lambert, później, przez małżeństwo, spokrewniony z Rotszyldami, przybył umyślnie, aby się pochwalić swoim mundurem generalskim po ulicach Tunisu i aby dowieść, że ów żyd, tak pogardzany na Wschodzie, rządzi teraz i dysponuje Francyą. Jest to istna próba wojny żydowskiej na tej ziemi, która widziała Ludwika Ś-go umierającego na popiele, z rękami w krzyż, jak Mistrz jego boski, wojny, na której każą francuzom umierać za sprawę żydowską, odejmując im nawet nadzieję przyszłego życia.

Zresztą, dokumenta naukowe są może wymowniejsze, aniżeli opisy najbardziej utalentowanego pisarza.

Któż nie czytał tego raportu o szpitalach, doktora Lereboullet, przyjaciela rządu, żyjącego na stopie poufałej z dziennikiem „Temps“? Ani łóżek, ani lekarzy, ani lekarstw. Konający rzucają się na słomie, wśród widziadeł gorączki tyfoidalnej, niby w czyścu ziemskim. W sali zapowietrzonej, w której unosi się anioł śmierci, krzyżują się wołania, jęki, harczenie. Ten dyszy i z gardłem wyschniętem woła: pić! Tamten już nie doznaje pragnienia; on pije w wyobraźni przejrzystą wodę rodzinnego strumyka; aby się jej napić wygodniej, pochyla się wśród traw i szuwarów; mocą jednego z tych skojarzeń wyobrażeń, które tworzą się nawet w umyśle obłąkanym, zdaje mu się że wstępuje na wzgórze, wchodząc do wsi; siada przy starej matce i zajada placki z mąki czarnej i kasztany, otwiera usta żeby się uśmiechnąć do znajomej dziewczyny... i bez cierpień oddaje ostatnie tchnienie. Przypatrzcie mu się... Na twarzy jego spokój... biedak zdaje się spać, a w skostniałej ręce trzyma jeszcze mały medalik Najświętszej Panny, otrzymany na odchodnem od Brata, który go uczył abecadła. Ten łajdak galonowany, który dla przypodobania się lewicy, zniósł w wojsku jałmużników, nie dopiął w zupełności zamierzonego celu. Oto jeden jeszcze francuz umarł po chrześciańsku.

Ale ta zgniła atmosfera poczyna wam już ciążyć, wszak prawda? Idźcie obejrzeć Mantegnis, własność Camondy, albo Beauregard, własność Hirscha. Tam tryskające wody „nie milkną ani w dzień ani w nocy“, świeże kląby, gęste cienie, cuda sztuki wszystkich wieków uprzyjemniają pobyt. Życie piękne jest zaprawdę; akcye kupione po 125 franków warte są 500 od czasu traktatu w Bardo, a Francya dług poręczyła.

Znakomicie wyraził się o tem Gambetta: „Ostatecznie —rzekł z trybuny w senacie z giestem nieokreślonej pogardy,— ileż ludzi zginęło? 1500 francuzów najwyżej...“

Tym razem jednak żołądek mu nie dopisał. Gdyby był wymienił prawdziwą cyfrę, żydzi byliby go nosili w tryumfie.

Epilog opowiedział mi jeden z moich przyjaciół, który 19 Listopada 1882 r. znalazł się na drodze prowadzącej ze stacyi kolejowej Gretz do zamku Saint-Ouen Mantegnis, własności lewantyńca Camondo. „W omnibusie pysznie zaprzężonym, który wiózł zaproszonych ze stacyi do zamku,— opowiada „Figaro“ z d. 22 Listopada, — siedzieli: pp. Gambetta, w towarzystwie p. Arnolda de l'Ariège, Leona Renaulta, Antonina Prorsta, Dugué de la Fauconnerie, Pignatela, Alfassy.“

„Figaro“ nie mówi nic o wybuchu wesołości tych panów na widok kilku żołnierzy urlopowanych, którzy szli na pociąg.

„Do Tunisu! do Tunisu!—krzyczeli weseli biesiadnicy, którym widok tych biedaków, idących z czołem pochylonem, z pakunkiem w kraciastej chustce od nosa, przypomniał zyski jakie zrealizowali.

Pod niebem jesiennem, melancholicznem i dżdżystem, przykro było słuchać tej hałaśliwej wesołości, — mówił mój przyjaciel.

A teraz dajmy głos „Figarowi“, zawsze dobrze poinformowanemu:

„Rachunek dzienny: 700 sztuk, z których 450 bażantów.

„I utrzymują, że zwierzyny niema we Francyi!“

Gambetta z ligą patryotów jeszcze raz usiłował przybranej swojej ojczyznie napędzić tę wojnę, której rezultatem byłoby prawdopodobnie wykreślenie jej z karty Europy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Ideały belletrystyki pozytywnej.

(Dalszy ciąg.)

Jeż, chcąc wykazać upadek tej lub owej rodziny, powinien się był zabrać systematyczniej do pracy. Oto np. hr. Dzierżejewski, który jest skończonym „idyotą“. Sumienny psycholog postawiłby „kwestyę“ w sposób następujący: kim jest ten pan Dzierżejewski? Hrabia, więc szlachcic. Zobaczmy jakie to szlachectwo? Jakiemu wypadkowi zawdzięczają Dzierżejewscy swe stanowisko uprzywilejowane? Czy zdobyli sobie herb na polu bitwy lub w radzie, albo też wcisnęli się do rycerstwa z boku, bez zasługi osobistej? Czy odznali się w dziejach po uzyskaniu szlachectwa przymiotami serca i duszy; czy pracowali pro bono publico, poświęcali się, narażali życie swoje i mienie w walkach krajowych? A może, wdrapawszy się tylko za pomocą sprytu, pieniędzy, oszukaństwa na wybitne stanowisko społeczne swiecili nieobecnością wszędzie, gdzie stawali mężowie rycerscy? Może kupili sobie tytuł hrabiowski, lub co gorzej, uzyskali go za „przysługi“ wątpliwej wartości? Jakie rodzą ich babki, jakie matki?

Zamiast sobie odpowiedzieć na te pytania przed naszkicowaniem głównych charakterów, wolał Jeż podciągnąć Dzierżajewskich pod ogólny mianownik, który nazywa „szlachtą“, a który stanowi dla psychologa tylko etykietę, nie uzasadniwszy niczem ani głupoty ojca, ani żydowskiej arogancyi i twarzy syna.

Wszelkie uogólnianie jest błędem artystycznym, tem więcej zaś gdy odnosi się do stanu, który będąc wolnym przez setki lat, musiał wytworzyć mnóstwo typów samodzielnych, całe wojsko indywidualności. Zgrzeszy mniej, kto opisze przeciętnego chłopa z czasów poddaństwa, które zniwelowało straszliwie miliony ludzi, (a które to poddaństwo jak wiemy jest naleciałością niemiecką) lub żyda, przedstawicela wielkich mas, ujednostajnionych przez wspólną wszystkim ciemnotę i tę samą zaciekłość talmudyczną. Ale szlachta, mogąca się swobodnie rozwijać, choć posiadała także pewne odrębne rysy, straciła wiele właśnie przez zbytni rozrost jednostkowości.

Teodor Tomasz Jeż doznał prawdopodobnie... licznych zawodów... rozczarował się. Więc wybuchnął niechęcią do całego stanu rycerskiego, jak jego młodzi wielbiciele warszawscy. Żal, czy osobisty, czy obywatelski, nie bywa sprawiedliwym. Wynajduje on rozmyślnie strony ujemne, pomijając dodatnie; kocha się w przesadzie, karykaturze, w zarzutach gołosłownych, nie troszcząc się o motywowanie i ścisłość przy formułowaniu wyroków.

Uwagę powyższą illustrują wszystkie społeczne powieści Jeża, osnute na tle stosunków szlacheckich, a napisane po r. 1863. Razi w nich wszędzie przedrzeźnianie, naginanie fabuły i postaci do tendencyi, potępianie ludzi a priori.

Jeż nie zastanowił się nad tem, że głównym demoralizatorem potomstwa Adama i Ewy są... pieniądze.

Nietylko arystokracya prawdziwa wydaje lekkomyślnych rozrzutników „szukających wrażeń“ w Monaco i w Paryżu, lecz i finanse. Najwybredniejszymi „artystami użycia“ bywają potentaci z burżuazyi, których tradycya sięga zaledwo do zbogaconego różnemi „operacyami“ ojca lub dziadka.

Pieniądze dają wygody, ze zbytku lęże się próżniactwo, a lenistwo jest, jak wiadomo, matką wszelkich głupstw i nikczemności. Rozumiał to już znakomity prawodawca spartański, wielki Lykurg, który nagiął p. Mamona do posłuszeństwa.

Ciągła praca jest dobrodziejstwem, lekarstwem — bezwątpienia—ale niezbyt i nie zawsze słodkiem. Są zaś, którzy wolą tylko słodycze.

A pieniądz nie pyta wcale o pargaminy. Patrzymy w Warszawie codziennie na zbogaconych żydków lub episierów innych, którzy temu lat dwadzieścia, trzydzieści, chodzili w chałatach i wytartych bluzach, nie mając wyobrażenia o różnych „gustach“, a dziś rozpierają się w ka-

retach, jak gdyby się w nich wychowali, i dają obiadki tak „artystycznie“ ułożone, że oblizują sobie po nich nawet smakosze tłuste palce. Któż nauczył tych ludzi takich „wykwintności“? Przecież nie dom ojca i matki, który stał gdzieś w okolicy Franciszkańskiej, Muranowa; nie szkoła, bo przechodzili tylko obok niej; nie salon, z któregoby ich wyrzucono.

Mądrość życia i użycia zlał na nich pieniądz, wszechpotężny bożek Mamon, panujący nam obecnie i panujący obrzydliwie.

Ponieważ szlachta była klassą posiadającą, przeto przylgnął do bogatych potomków rodzin znanych brud grosza, zwłaszcza od chwili, kiedy „pan z panów“ przestał być obywatelem i rycerzem. „Brud grosza“ przylgnął głównie do sfer najmożniejszych. Że jednak i ta reguła nie jest bez wyjątku, jak wszystkie, dowodem cały szereg ludzi bogatych z nazwiskami historycznemi, którzy jednak pracują wiele, nie usuwając się nigdy od spełnienia szlachetnego czynu.

W Galicyi np. spotyka się na wszystkich polach działalności publicznej takich arystokratów jak Dzieduszyckich, Tarnowskich, Borkowskich, Stadnickich, Sapiehów, Fredrów, Koziebrodzkich i. t. d. Pesymizm Jeża znajduje poniekąd wytłumaczenie w wypadkach naszych czasów, lecz „kwestyę“ trzeba było postawić zupełnie inaczej.

Nie tradycye szlacheckie demoralizują ludzi, nie krew przodków walecznych, ofiarnych i czystych zanieczyszcza organizm potomków, jeno pieniądz, wyniesiony dziś w stosunkach społecznych do godności królewskiej. Bo tradycya szlachecka, to duma, niezależność, honor, praca dla słabszych, miłosierdzie dla powalonego, to—odwaga prywatna i publiczna. Niechby się tą tradycyą wszyscy przejęli, czy z książąt idą, czy z karbowych, a skończy się ohydne panowanie kłamstwa i obłudy... bękartów liberalizmu, zgwałconego w chwili entuzyazmu przez burżuazyę i handlarstwo semickie.

Prawdziwa tradycya nie szkodzi nikomu; owszem, chroni ubogiego od zbrukania i upodlenia. Kto kocha pamięć swych przodków szlachetnych, których godnym stać się pragnie, może być nieudolnym, pozbawionym wyższych przymiotów serca i duszy, lecz łotrem ni szubrawcem nie będzie. Nie dorówna im może, ale — nie zrobi wstydu.

Tradycya zresztą nie należy wcale do wyłącznych przywilejów szlachty. Szczyci się chłop ojcem uczciwym, pyszni się i rzemieślnik swoim dziadem dzielnym, rozumnym. Rys to ogólno-ludzki, rys piękny, bo świadczy o przyrodzonem poczuciu moralności, honoru i cnoty. Wszelkie więc powstawanie przeciw tradycyi, jest szowinizmem doktrynerów, którym się zdaje, że bezwzględny krytycyzm buduje.

Zważywszy, że Jeż lubuje się od lat dwudziestu kilku w karykaturze charakterów i fabuły, że opętany przez zgryźliwego ducha absolutnej negacyi, stracił miarę w oku, wybierając rozmyślnie przedmioty, nadające się tylko do krytyki, że w końcu, nie zna obecnych stosunków kraju — nie można przyznać wartości artystycznej i publicystycznej drugiej grupie jego powieści społecznych, osnutych na tle stosunków szlacheckich, z wyjątkiem „Wnuka Chorążego“, który mimo swej spóźnionej daty, należy jeszcze do pierwszej seryi, do „Historyi“. Są to owoce żalu, niechęci, rozdrażnienia, płody talentu, znajdującego się w stanie patologicznym. Należą one do historyi literatury tylko jako signa temporis i tworzą świeżą illustracyę do prawdy, że: pisarz-artysta musi żyć wśród społeczeństwa, którego chce być malarzem i nauczycielem.

Chłopi i kilka kobiet — oto wszystko, co dodatniego wyszło z pod pióra Jeża od r. 1863. Reszta mogłaby nie istnieć z korzyścią dla autora „Historyi“, a bez szkody dla literatury, tem więcej, że niema w spółczesnej belletrystyce polskiej pisarza, któryby w takim stopniu jak twórca „Ofiar“, „Pod obuchem“, „Dyplomacyi szlacheckiej“ i t. d., gardził formą, techniką.

W „Ofiarach“ (rozdział II tom I) przyznaje się też autor naiwnie do niedbalstwa, gdy mówi:

— „Zabierzemy z bohaterem znajomość później nieco, rozwijając rzecz porządkiem chronologicznym, bardzo wygodnym pod tym względem, że nad konstrukcyą powieści głowy łamać nie potrzeba.“

Nie ulega wątpliwości, że tego rodzaju „konstrukcya powieści“ jest daleko „wygodniejszą“, niźli budowa jednolita, że nie potrzeba sobie „łamać głowy“, gdy się pisze. co komu ślina do ust przyniesie, lecz niechże się Jeż nie dziwi „Zoilom“, którzy nie mogą zgodzić się na tak niesłychane lekceważenie jednej z głównych zasad sztuki. Piękna forma jest warunkiem sine qua non belletrystyki, a Jeż nie ma poprostu najmniejszego poczucia techniki artystycznej. Zaczyna on każdą powieść od środka, przyczepia ekspozycyę w połowie akcyi, dodaje ciągle coś nowego, wraca do tego samego faktu w toku opowiadania, które rwie ciągle niby nić pajęczą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NA POSTERUNKU.

Raport Jeża w „Prawdzie“ o ostatnich chwilach ś. p. Kraszewskiego.— Dlaczego podnoszę to curiosum pogańskiego postępu. — Pasowanie Kraszewskiego na bezwyznaniowca i moje objaśnienia na podstawie raportu Jeża. — Co mogło znaczyć: „podnieście mnie na duchu“? — Nie zrozumieli! — Co podziwiam? — Pani Kaftalowa i jej działalność na arenie publicznej. — Wystawa — goście japońscy i komitet wystawowy pod komendą żydówki.

„...Przypuszczał że umrze, wspominał bowiem o tem. Wyraz „„umieram““ — padał mu z ust niekiedy. Zawsze atoli, po wymówieniu wyrazu tego, wołał o ratunek i przyjmował pocieszanie za prawdę, której się z ufnością chwytał.

„W chwilach jaśniejszych, ile razy mu oprzytomnienie wracało, o przyszłości myślał i mówił, ale nie o przyszłości zagrobowej.

„Żyć pragnął; śmierci nie chciał i — niespodziewał się jej.

„...Nikt z czuwających przy nim, przez cały przedśmiertnego pobytu jego w Genewie czas, nie dostrzegł ani dosłyszał objawu najmniejszego, świadczącego, że duch umierającego zwraca się ku tym sferom, ku którym zwracać się nakazują przepisy kościelne. Bóle wydzierały mu z ust wykrzyknik: „„o Jezu!““ Raz odezwał się: „„Unieście mnie!... Duchem mnie podnieście!““ Oto wszystko, co się do sfery zagrobowej odnosiło. Po za tem ani się pomodlił, ani przeżegnał, ani się o przygotowanie na drogę wieczności upomniał.

„...Telegram był zmyślony:

„...Nie spowiadał się, nie kommunikował i olejów świętych nie przyjmował. Ani o tem pomyślał (!?). Nikt mu o tem nie przypomniał. Że sam nie pomyślał, tłumaczy się to tem, że żyć pragnął i żyć się — (porównaj z wykrzyknikiem: „umieram“, przypis. feljet.) spodziewał. Że mu nikt nie przypomniał, pochodzi to ztąd, że pomiędzy tymi, co go w ostatnich życia jego momentach otaczali, nie znalazł się okrutnik ani jeden“.

Tej treści doniesienie z ostatnich chwil ś. p. Kraszewskiego, podał do „Prawdy“ znany pisarz Teodor Tomasz Jeż.

Wyznaję otwarcie, iż wolałbym o tym występie autora „Uskoków“ nie wspominać. Czekałem więc dwa tygodnie, sądząc, że ktoś z bliższych przyjaciół Kraszewskiego upomni się o sponiewieranie tych uczuć, których on sam bronić już dziś nie może, a którym, przez ciąg całego swego życia, nie sprzeniewierzył się nigdy. Gdy jednak widzę, że nawet te pisma, które najgłośniejsze składają Kraszewskiemu hołdy — o wyrządzonej mu krzywdzie milczą arcy-dyskretnie, gdy nawet te pisma przekładają oportunizm wygodny nad osłanianie pamięci tego, którego czczą przecież tak wymownie, — dłużej czekać nie mogę. Muszę podnieść to nowe curiosum pogańskiego postępu, i oświetlić je; — muszę, bo mi tak nakazują i zasady pisma i — sumienie własne.

Czuję i rozumiem dobrze, czem dziś, w chwili, gdy społeczeństwo czci pamięć jednego z największych swych pisarzy, są owe kłótnie „stronnictw“, których echo, acz z innych racyj, odbiło się już w prasie. Bolesne to i nad wyraz smutne. Grób świeży, strata dla narodu olbrzymia, a przecież nawet w takiej chwili, jeźli już nie zgody ,to przynajmniej powagi być nie może. Rumieniec wstydu, kiedy kreślę te słowa, oblewa mi twarz; lecz wstyd mi nie za siebie. Wstyd mi za tych, co nawet zgon ludzi zasług wielkich, gotowi użyć za środek dla swojej małej, mizernej propagandy. Bolesne to widowisko zainscenowali pierwsi rzekomi apostołowie i prorocy — postępu (!), a „zacofańcom“, w takich zwłaszcza razach, kiedy idzie o prawdę, o obronę najświętszych uczuć i wierzeń nieboszczyka — milczeć nie godzi się, nie wolno.

Jakiż tedy był cel raportu Jeża, przesłanego do tak zwanej „Prawdy“? Chciałże sprawozdawca podnieść, czy też poniżyć Kraszewskiego? Nie wierzę w intencyę pierwszą, zwłaszcza gdy we wszystkich korespondencyach Jeża,

dostarczanych obficie z okazyi zgonu Kraszewskiego, do różnych pism warszawskich, dostrzegam — ostatnią. Jeż chciał Kraszewskiego zrobić wielkim według swej miary pozytywnej i dlatego pasował go na bezwyznaniowca. Chciał go podnieść, lecz zaślepienie, krańcowość, ów znany despotyzm liberalny, tendencya, nie pozwoliły mu dostrzedz jak go niemiłosiernie usiłuje poniżyć. Bo przedewszystkiem, możnaby sprawozdawcę zapytać: jakto?! — Kraszewski, ten Kraszewski, którego wy sami nazywacie mocarzem, potentatem duchowym, umierał tak, jakby umierał najprzeciętniejszy i najsłabszy mizerak,—jakby w nim ani źdźbła owej siły ducha nie było? Śmierci się bał — śmierci nie chciał — alboż to być może?—alboż to jest cechą dusz wielkich i niepospolitych?

Szczęściem — że nawet Jeż, w opowiadaniu swojem, plącze się jakoś dziwnie. Tendencya nie pozwoliła mu znowu spostrzedz co czyni i co pisze. Dopiero co Kraszewski „przypuszcza że umrze“ i „wspomina o tem“, dopiero „pada mu z ust wyraz: „umieram“, i znowu, o kilkanaście wierszy niżej — Kraszewski „śmierci się nie spodziewa“. A że się „nie spodziewał“, więc się, według raportu, i „o przygotowanie na drogę wieczności nie upomniał“. Czy jednak szanowny sprawozdawca może twierdzić poważnie że człowiek, który woła: umieram!—jest w stanie równocześnie „nie myśleć“ o śmierci i „nie spodziewać się jej“? Nie; Kraszewski, jak to widać z samego sprawozdania Jeża, myślał o śmierci i spodziewał się jej; lękał się tylko widocznie największej dla siebie w tej stanowczej chwili boleści: nieposzanowania jego wierzeń świętych—i dlatego o przygotowanie na drogę wieczności nie upomniał się może dość wyraźnie. Podkreślam ten wyraz, bo upomniał się w sposób o którym sam sprawozdawca najwyraźniej wspomina, a który, przy innem otoczeniu, mógłby być inaczej zrozumianym. Gdy mówił: „Podnieście mnie duchem“,—była to właśnie może ta chwila, na którą otaczający jakoby „oczekiwali“, gotowi „skinieniu jego uczynić zadość“. Podnieść, w chwili takiej, gasnącego ducha, można *jedynie siłą wiary*, a przecież nie mogli chyba uczynić tego ci, co sami w nic nie wierzą. „Podnieście mnie duchem“! — czyż mógłby szanowny sprawozdawca zaręczyć, że nie znaczyło to: wezwijcie kapłana!? Tylko że, niestety, „otaczający“ nie umieli, nie chcieli może zrozumieć tej ostatniej prośby.

„O księdzu wspomnieć — powiada sprawozdawca — znaczyło: człowieka żyjącego jedynie nadzieją życia (i mówiącego: umieram! — przypis. feljetonisty) nadziei tej pozbawić“, a pomiędzy tymi, co go w ostatnich jego życia momentach otaczali, nie znalazł się okrutnik ani jeden“. Przetłumaczyłbym to na język szczery i powiedział: nie znalazł się, niestety, ani jeden człowiek prawdziwej i gorącej wiary—lecz byli zato sami okrutnicy, co chociaż, jak zapewniają, wiedzieli, iż „Kraszewski wierzącym był“, mieli jednakże serce tym wierzeniom umierającego nie uczynić zadość. Tak — okrutnicy, którzy, człowiekowi noszącemu od dzieciństwa w duszy głębokie uczucia religijne i czczącemu zawsze wiarę swoich naddziadów — pozwolili... albo raczej nie pozwolili umrzeć po chrześciańsku.

Doprawdy, kiedy np. czytam prace Jeża o Słowiańszczyznie (z których i „Rola“ korzystała), oddaję cześć jego zasłudze pisarskiej w tym kierunku; kiedy czytam jego powieści, *na tem tle* (jak „Uskoki“) osnute, cenię wysoko jego talent, lecz kiedy widzę jego artykuły w „Przeglądzie Tygodniowym“ lub „Prawdzie“, podziwiam tylko — odwagę. W istocie, trzeba wielkiej odwagi, iżby, stojąc nad grobem, z posiwiałym już włosem, pozwalać sobie jeszcze propagandy gorszącej; trzeba wielkiej odwagi, iżby się nie lękać złorzeczeń ojców i matek, których dzieci propaganda taka obdziera niemiłosiernie z najdroższych skarbów ducha!

Są to rzeczy smutne, tak smutne, że umysł, zmęczony ich rozpamiętywaniem, zwraca się mimowoli ku przedmiotom — innym. Jednym zaś z przedmiotów, które mnie w tej chwili obowiązują, jest spłacenie długu pani — Kaftalowej. I ja nie chcę się dać w tym względzie wyprzedzić Kuryerom, i ja chcę jej złożyć „podziękę“ za coraz wybitniejszą działalność na arenie publicznej. Bo proszę tylko zważyć, coby to było, gdyby gród nasz syreni nie posiadał w swych murach tej córy Izraela! Nie miałby kto, najpierw, tresować naszych dzieci polskich ani w ogrodzie zoologicznym, ani w tattersalu, powtóre, nie miałby kto objąć patronatu nad „wystawą starożytności“ i tresować — wystawców, a potrzecie, mogliby niedawni goście nasi japońscy: książę Akihito-Komatsu i jego małżonka Yorika, nie widzieć tej wystawy i nie „zachwycić“ się wcale naszą piękną Jerozolimą—przepraszam, chciałem powiedzieć—naszą piękną i gościnną Warszawą.

Cóż znowu?! — zaprotestujecie. Toż wystawa miała swego prezesa i swój „komitet“, złożony z „miłośników sztuki“. Ba, tak było, ale na papierze jedynie. W rzeczywistości, jak mi wyraźnie opowiada jeden z członków tegoż samego „komitetu“, było całkiem inaczej. Pani Kaftalowa, nietylko jako „biegła“ oceniała starożytne koronki, do czego żadna widocznie z pań polskich nie czuła w sobie odpowiednich zdolności, nietylko jako sprawozdawczyni jednego z pism, oceniała ornaty, ołtarzyk polowy Sobieskiego, monstrancye etc. (choć temi przedmiotami na Franciszkańskiej nie handlują jeszcze), nietylko wreszcie traktowała z góry wystawców, ale cały ów komitet wystawowy, przez cały czas wystawy, jak ową dziatwę w tattersalu, miała pod swą komendą!

— To skandal! — mówi do mnie, udzielający mi tych objaśnień, ów członek komitetu.

— Przepraszam to nie żaden skandal. To tylko braterstwo z Izraelem — braterstwo, które ostatecznie doprowadzić musiało do wszelkiego bezwstydu i do wszelkiego zapomnienia o — godności własnej.

A zresztą czegoż chcecie panowie? Wszak dzięki jedynie pani Kaftalowej, książę japoński Komatsu i jego małżonka Yorika mieli sposobność przekonać się o cywilizacyi warszawian i polaków w ogóle, a warszawianek w szczególności. Ona to bowiem, pani Kaftalowa, z przypiętą oznaką członka komitetu (!), nietylko oprowadzała księztwo po wystawie, ale nadto wręczała im bukiety, całowała ręce i czyniła różne inne honory w imieniu — dam polskich; — ona je reprezentowała!

O polko, córo dawnych rycerzy, których zbroje patrzyły właśnie na te hece żydówki, — na co ci to dziś przyszło!...

Kamienny.

Z CAŁEGO SWIATA.

Komu największy pożytek przyniosło wypuszczenie na wolność Schnaebellego.—Co na tem skorzystał on sam, co Francya, co Niemcy, a co dyrektor teatru „Eden“.—„Lohengrinn“na scenie paryzkiej. — Słówko o paryżanach.—Fiasco wystawy powszechnej paryzkiej. — Na nic wieża żelazna i kolej obwodowa. — Zola wygwizdany w „Vaudevillu“ i dramat jego „Renée“. — Los dramaturgów i aktorów włoskich. — Przedstawienie w Forli.—Czem dla turków „Piękna Helena“?...—Schnaebelle wypuszczony, ale rozdrażnienie nie znikło. — Postawa Francyi. — Zgodność rządu francuzkiego. — Krzyż brylantowy dla Schnaebellego. — Nowa polemika polityczna wszczęta przez „Nordd. Allg. Ztg.“—Osme przykazanie.

Czy wiecie Państwo, kto najwięcej zyskał na wypuszczeniu na wolność Schnaebellego?... Myślicie może, że przedewszystkiem sam Schnaebelle,—otóż bynajmniej. Jemu tam, o ile wiem, tak bardzo znowu źle w tem niemieckiem więzieniu nie było; mógł być pewny, że prędzej czy później wyjdzie z tej kozy, zdrów na umyśle jak cielę...

A może ktoś powie, że na tem skorzystała Francya; że ustępstwo ze strony Niemiec podniosło moralną powagę jej rządu, wyższym respektem otoczyło republikę... Bajki, prześwietny sądzie! Ks. Bismark ze Schnaebellem czy bez Schnaebellege, zawsze zrobi z Francyą co zechce, a na szalę stosunków francuzko-niemieckich spadnie teraz jeszcze po stronie francuzkiej ciężar wdzięczności dla niemców za uprzejmość, z jaką zakończyli sprawę mogącą doprowadzić do wojny, której Francya w tej chwili sobie jeszcze nie życzy, a czy kiedy będzie sobie już życzyła, to wielkie pytanie.

Od obu poprzednich interesantów więcej zyskały już Niemcy; okazały się bowiem z jednej strony stanowczemi, gotowemi chwycić się każdego środka, mogącego posłużyć do ich celów; z drugiej oględnemi, umiejącemi powstrzymać się w porę i zrobić nawet z potrzeby cnotę, a pewnemi siebie i spokojnemi, że żadne ustępstwo stanowisku ich ujmy nie przyniesie.

Ale najwięcej zyskał... No... proszę zgadnąć!.. Nie?... Ha, to powiem nareszcie: najwięcej zyskał — dyrektor teatru paryskiego „Eden“ zwanego.

Wiadomo, że zarówno narodowość jak muzyka Ryszarda Wagnera nie miały oddawna miru w Paryżu. Wszelkie pokuszenia się wyjątkowych zwolenników muzyki przyszłości, aby paryżan bliżej z nią i z jej mistrzem zapoznać, długo robiły kompletne fiasco. Nareszcie zdawało się, że zawziętość słabnąć zaczyna, a ciekawość ujrzenia i usłyszenia tego, co ostatecznie cały świat widział i słyszał, bierze górę u publiczności francuzkiej. I tak było rzeczywiście: paryżanin jest ciekawy, a chciwy nowych wrażeń; dla nich o wielu rzeczach zapomina, wiele sobie wyperswadować po-

zwoli, i w końcu zacznie gorąco pragnąć tego, na co przed rokiem dajmy na to, byłby rzucał kamieniami.

Taki zwrot w usposobieniu paryżan podpatrzył dyrektor teatru „Eden“ i postanowił przedstawić „Lohengrina“. Porobił znaczne w tym celu nakłady, za 100,000 fr. sprawił nowych dekoracyi, za 50,000 fr. nowych kostyumów, a samo wprowadzenie i ustawienie organów na scenie kosztowało go 32,000 franków. Paryżanom, słyszącym o tem wszystkiem, ślinka do ust ciekła, poczęli się palić do Lohengrina, wszelka „rankiuna“ do Wagnera znikła i dyrektor „Edenu“ był już u progu wielkiego sukcesu. Wtem jakby na złość licho nadało tego Schnaebellego, że wlazł w ręce żandarmom niemieckim... Krzyk, gwałt się zrobił wielki, hajże na niemców! gruchnęło znów po całej Francyi, a dyrektor „Edenu“ zbladł, zzieleniał, zfioletowiał; — *„oleum et operam perdidi!“* zawołał i gotował się pójść sobie najprościej w świecie na bankruta. Można sobie zatem wystawić, w jakie on złote ramy oprawiłby teraz księcia kanclerza, za to, że dzięki jego niezwykłej uprzejmości, poprzedni stan stosunków francuzko-niemieckich wraca, podniesiony nawet do serdeczniejszego na pozór dyapazonu, który też pozwoli na „Lohengrinie“ jeszcze świetniejszy niż przedtem zrobić interes.

W każdym razie nie ulega wątpliwości, że dyrektor „Edenu“ lepiej wyjdzie na muzyce przyszłości, aniżeli rząd francuzki na wystawie powszechnej. Wszystkie prawie rządy europejskie odpowiedziały na wezwanie odmownie;— i nic dziwnego: czas na wystawę najfatalniej wybrany, a przytem trzeba było rzeczywiście republikańskiego rozumu i taktu, w połączeniu z nieodłącznym od nich tupetem, żeby Europę monarchiczną, zapraszać na uroczystość obchodu rocznicy „wielkiej rewolucyi“!... Dzięki temu, francuzi albo będą musieli zaniechać wystawy, co byłoby najlepiej, albo poprzestać na wystawie prawie wyłącznie krajowej, która pewnie szerszego interesu nie obudzi, a tem samem celu swego nie dopnie. Nie pomoże na to ani olbrzymia wieża żelazna, ani nawet dość oryginalny pomysł urządzenia pewnego rodzaju kolei żelaznej obwodowej, złożonej z zamkniętego łańcucha platform, poruszanych elektrycznością, któremi bez najmniejszej fatygi będzie można objechać i obejrzeć całą wystawę. Może jeden i drugi anglik przyjedzie, żeby wygramolić się na szczyt olbrzyma żelaznego, a choćby i sprobować skoczyć z niego na ziemię, — albo skosztować wrażeń kolejowej wyprawy *autour de l'Exposition*, ale na tem chyba i koniec. Rząd republikański, któremu się marzyły podobno tryumfy wystawy Napoleońskiej, z polityką swoją wystawową, podobnie jak z kolonialną i wielu innemi, osiądzie sobie na koszu.

Wogóle francuzom ciągle się nie wiedzie. Niedawno temu wygwizdano w „Vaudevillu“ naturalistyczny dramat króla naturalistów, Zoli. Dramat ma tytuł „Renée“ i jest przeróbką z powieści tegoż autora „La Curée“. Zola nie miał odwagi podać na scenę potrawy tak pieprznej, jak ona przedstawia się w powieści; rzecz więc pozostała niesmaczną a przestała być „pikantną“. Bohaterka, z okrzykiem: „mąż mnie okradł, kochanek oszukał!..“ pali sobie w... główkę, a nad jej zwłokami rozlega się złowrogi... świst znudzonej i oburzonej publiczności. Brudne dramidło zamienia się w tragi komedyę...

Inny los jest udziałem autorów dramatycznych włoskich. W mieście Forli grano niedawno temu dramat niejakiego p. Ulissesa Barbieri, zwanego Ksawerym Ulissesem poprostu, a znanego ztąd, że z rzadką chojnością umie sztuki swoje podlewać krwią a watować je trupami. Tym razem dramat zwał się „Caprea“ a osnowę jego główną stanowiła śmierć Garibaldiego. Publiczność była rozentuzyazmowana sztuką, nie szczędziła szalonych oznak zadowolenia, a po zapadnięciu kurtyny na końcu ostatniego aktu, krzyki: „Bis! bis!...“ póty nie milkły, póki aktorzy całego dramatu od samego początku grać nie zaczęli. Z publicznością miasta Forli nie było żartów, trzeba albowiem wiedzieć, że to ona wybrała na swego reprezentanta w parlamencie galernika Cipriani ego... Więc ochrypli artyści ostatnich sił dobywali, aby tylko nie rozdrażnić podejrzanej łaskawości publiki, a biedny Garibaldi musiał poraz drugi konać jednego i tego samego wieczoru.

A kiedy mowa o teatrze, to zaznaczyć jeszcze muszę ciekawy fakt, a mianowicie, że „Piękna Helena“ w Turcyi ma powagę dokumentu historycznego. Dziennik stambulski „Farik“ mówiąc o wykopaliskach trojańskich, a nie chcąc rozwodzić się obszerniej nad wojną trojańską, nieznających bliżej jej historyi odsyła naseryo do „Pięknej Heleny“... Poczciwe te turki — doprawdy!...

Schnaebelle został wypuszczony na wolność; niemcy przyznali, że listy jakie do niego Gautsch pisał, mogły być uważane za gleit bezpieczeństwa, o którym rząd niemiecki nie wiedział, dowiedziawszy się zaś, natychmiast się od pogwałcenia prawa międzynarodowego cofnął. Tak utrzymują niemcy, — ale francuzi twierdzą, iż aresztowanie Schnaebellego od samego początku było pogwałceniem prawa międzynarodowego, a jednak władze niemieckie nie wzdragały się przed niem, tak jak nie byłyby się wzdragały i później, gdyby im postawa Francyi nie była zaimponowała.

Tak więc spór, lubo niby pokojowo załatwiony, pozostawił wzajemne rozgoryczenie i rozdrażnienie. Z takiego zakończenia cieszą się tylko prasy półurzędowe, bo tak im wypada. Po za niemi niemcy wychwalają umiarkowanie i pobłażliwość swego rządu, a francuzi energię i stanowczość swojego. Niemcy twierdzą, iż Francya przyrzekła ograniczyć swój system szpiegostwa i rozwiązać ligę patryotów, co nieprawda, Francuzi utrzymują, że niemcy cofnęli się przed zgodnością rządu francuzkiego co do odwołania się w razie potrzeby do środków ostatecznych. Generał Boulanger wydał już był podobno rozkazy, powołujące pod broń rezerwistów z departamentu Sekwany. Granica francuzko-niemiecka jest zawsze niby miną, która za lada iskrą wybuchnąć może. Naród francuzki postanowił Schnaebellemu ofiarować krzyż brylantowy, w miejsce krzyża legii honorowej, którego mu rząd przez wzgląd na Niemcy dać nie mógł.

Książę kanclerz niemiecki wprowadził na stół w organie swoim, „Nordd. Allg. Zeitung“ nową, ciekawą, a po części kompromitującą polemikę polityczną. Dowodzi on, że okupacya Bośnii i Hercegowiny przez Austryę nie jest dziełem jego na kongresie berlińskim, ale owocem poprzednich dobrowolnych umów między Austryą i Rossyą, a mianowicie między ks. Gorczakowem a hr. Andrassym, prowadzonych i zawartych w latach, 1876 i 1877. Kongres potwierdził tylko, czego usunąć nie mógł. Przeciw twierdzeniom tym wystąpiła prasa rossyjska, a hr. Andrassy kategorycznie im zaprzeczył. Ciekawym można być zaprawdę końca tego sporu, który ostatecznie powinienby dowieść, o ile książę kanclerz w praktyce toleruje ósme przykazanie.

E. Jerzyna.

GODNE NAŚLADOWANIA.

W swoim czasie, wiele pism tutejszych — a pomiędzy niemi i „Rola“— zaznaczyło ze szczególnem uznaniem zapis małżonków Norblinów, uczyniony na rzecz robotników pracujących w fabryce tej firmy; w swoim również czasie donieśliśmy, iż zapis ten nietylko wszedł odrazu w wykonanie, ale że już korzystają z niego ci, dla których został przeznaczonym. Jeszcze bowiem w Październiku z. r. 20 pracowników fabrycznych, z „Kasy zapomóg imienia Norblinów“, otrzymało pierwszą wypłatę kwartalną — w stosunku jaki dla nich przypadł, t. j. po 25 rubli na osobę.

Były to przecież wiadomości podawane jedynie w formie reporterskiej, gdy tymczasem rzecz sama,—sama ta fundacya jest faktem tak pięknym i doniosłym, że warto poznać ją bliżej, a poznawszy, postawić za wzór do naśladowania.

W tym przeto celu podajemy główne zasady, na których szlachetny ten zapis i powstała z niego Kasa zapomóg zostały oparte.

Dokument obejmujący te zasady i warunki istnienia, oraz funkcyonowania Kasy, brzmi, w głównych swych punktach, jak następuje :

„Współwłaściciel fabryki wyrobów platerowanych i srebrnych, prowadzonych obecnie pod firmami : Norblin i S-ka, T. Werner i S-ka i Bracia Buch, przy ulicy Żelaznej Nr. 19, Ludwik Norblin, za zgodą i życzeniem żony swojej, Jadwigi z Fukierów,— w uwzględnieniu zasług tych pracowników, którzy gorliwie i stale, przez długi szereg lat, w fabrykach powyższych pracowali i nadal pracować będą, przeznaczają ze swego majątku, a mianowicie z udziału w fabryce, sumę rs. 50,000, na stałe, roczne zapomogi, gratyfikacye i emerytury, z zastrzeżeniem nietykalności kapitału. Jedynie zaś tylko ma być dopełnianym rozdział tak procentów jak i zysków, na kapitał ten z eksploatacyi fabryk przypadających— według zasad następujących :

„Przeznaczony powyżej kapitał, a raczej dochód z tegoż, nie nadaje tym, którzy z niego korzystać będą, żadnych praw i głosu w ogólnym zarządzie fabryki, lub prawa do żądania wypłaty odpowiedniego kapitału.

„Ofiarodawcy, przeznaczając ten fundusz, obok pole-

pszenia losu tych zpośród pracowników, którzy odznaczyli się długoletnią pracą, rzetelnością i moralnością, mają głównie na celu zachętę młodszej generacyi pracujących do wstępowania w ślady tych, którzy dziś nabrali prawa do zapomóg z niniejszego zapisu wypływających.

„Ofiarodawcy pragnęliby, tak dla dobra fabryki, jak i dla dobra samych pracowników, aby ci, strzegąc i pilnując na każdym kroku dobra fabryki, nabrali przekonania i zrozumieli dobrze to, że tylko przez szczerą i sumienną pracę, przez nakłanianie drugich do pracy uczciwej i t. d., przyczynią się najbardziej do wzrostu fabryki i osiągnięcia większych zysków; — a im te zyski będą większe, tem większy fundusz osiągniętym będzie corocznie do rozdziału pomiędzy pracujących i zasługujących na zapomogi, gratyfikacye i emerytury.

„Prawo do korzystania z procentów i dochodów od tej summy mają wszyscy pracujący w fabryce zupełnie równe, bez względu na to, czy są oficyalistami, czeladnikami, lub zwyczajnymi robotnikami. Wymaganem będzie jedynie 25 lat nieskazitelnej i nieprzerwanej pracy w fabryce i 55 lat wieku, przyczem ci którzy obecnie warunkom tym odpowiedzieli, bezzwłocznie do pobierania płacy zakwalifikowani będą, a czas pracy liczyć się im zacznie już od początku egzystencyi firm powyżej wyszczególnionych.

„Sześć od sta od tego kapitału rocznie, czyli suma 3000 rubli, przeznaczoną zostaje na stałe płace dla tych pracowników posiadających kwalifikacye powyżej wymienione. Płaca ta wynosić będzie dla każdego z tychże pracujących po rubli sto rocznie, a wypłacaną ma być w ratach kwartalnych każdego 1-go Stycznia, 1-go Kwietnia, 1-go Lipca i 1 go Października.

„Każdy do tej kategoryi zakwalifikowany pobierać będzie przypadającą nań płacę s t a l e i d o ż y w o t n i e, a niezależnie od zarobku zwykłego, g d y ż p r a c y n a d a l p r z e r y w a ć n i e p o t r z e b u j e.

„Utrata prawa do płacy nastąpi wtenczas, gdy pobierający takową, fabrykę dobrowolnie opuści, i do pracy w innej fabryce przejdzie, lub też gdy w skutek jakiegoś nadużycia, — z fabryki wydalonym zostanie.

„Jeżeli liczba kandydatów kwalifikujących się do pobierania płacy dożywotniej, będzie mniejszą od 30 stu przez co fundusz 3000 rubli na ten cel przeznaczony, nie będzie mógł być wyczerpanym, w takim razie pozostałość użytą zostanie na zwiększenie kapitału.

„Gdyby zaś liczba pobierających płace dożywotnie przeszła określoną normę, natenczas przybywający nowi kandydaci do nowych płac, otrzymywać je będą w takim porządku, w jakim do nich kwalifikacye nabyli, i w miarę rozporządzalnego funduszu, jaki na ten cel jest przeznaczonym, a o którym jest mowa poniżej.

„Ponieważ niezależnie od procentów w sumie rubli 3000, przypaść jeszcze może dywidenda (od kapitału udziałowego rs. 50,000) z czystych zysków z fabryki osiągniętych, z dochodem tym przeto postąpionem będzie, jak następuje:

„1. Z dochodu tego zaczerpnie się przedewszystkiem fundusz na dopełnienie stałego kapitału rs. 50,000 w tym mianowicie wypadku, gdyby z poprzedniego roku dochód z eksploatacyi fabryki nie przyniósł sześciu procent, a dla wypłaty 30 stałych płac rocznych, zarząd fabryki zaforszusował pewną summę; następnie zaś na dopełnienie stałych rocznych płac storublowych w tym znowu wypadku, gdy liczba pobierających je przeniosła cyfrę trzydziestu.

„2. Jedna trzecia część dywidendy obracaną będzie na fundusz zapasowy, który po dojściu do sumy każdych 5000 rubli, lokowanym być winien hypotecznie na nieruchomości w Warszawie na sześć procent, a osiągnięte ztąd dochody obracane być mają na utworzenie nowych płac stałych dla przybywających kandydatów, lub w braku tychże na powiększenie stałych płac już pobieranych.

„3. Połowa dywidendy użytą ma być na gratyfikacye dla tych z pomiędzy pracowników, którzy oprócz sumiennego i akuratnego spełniania swych obowiązków, odznaczyli się usilną gorliwością i szczególnie pożyteczną pracą lub szczególnym jakimś czynem spełnionym dla dobra fabryki.

„Przyznawanie tych gratyfikacyj pozostawia się zarządowi fabryki, przyczem mogą być nagradzani pracujący bez względu na to, czy z innych płac już korzystają lub nie; tylko bowiem c z y n y przyczyniające się do rozwoju fabryki, nagradzanemi być winny.

„4. Szósta część dywidendy obracaną będzie na zapomogi jednorazowe dla tych z pomiędzy pracujących w fabryce, którzy wskutek dłuższej choroby swojej lub rodziny, lub innych wypadków losowych materyalnie podupadli, — jak również dla wdów i sierot po zmarłych robotnikach.

„Podział tych zapomóg pozostawia się uznaniu głównego zarządu fabryki, przyczem rozdział winien być dopełnianym mniej więcej, według zasad Kassy szpitalnej, lecz w rozmiarach zwiększonych o tyle, o ile na to przypadły fundusz z tego źródła pozwoli.

„Wszelkie wypłaty i przyznawania kwalifikacyi do pobierania płac pozostawiają się raz na zawsze zarządowi fabryki, rozstrzyganie zaś wszelkich kwestyj w razie nieporozumień lub pretensyj, ostatecznie i nieodwołalnie zastrzega sobie Ludwik Norblin, który również będzie miał prawo mianowania jednego lub więcej swych zastępców."

Tak się przedstawia i na takich podstawach opartym został czyn piękny i obywatelski—czyn w którym, uczciwie i rozumnie połączoną została dbałość o rozwój przedsiębierstwa z troską o dobro pracowników;—czyn wreszcie, którego wartość moralna mówi sama za sobą — i w obec którego wyrazić można jedno tylko życzenie: obyż w dziedzinie przemysłu polskiego znalazł on jak największą liczbę równie szlachetnych — naśladowców. *J. J.*

KRONIKA BIEŻĄCA

Krajowa i Zagraniczna.

Testament Kraszewskiego. Dzienniki podały tekst ostatniej woli ś. p. Kraszewskiego. Zmarły, znakomity pisarz, rozdzieliwszy majątek swój między dzieci i żonę, — zbiór pamiątek jubileuszowych przekazuje synom, z zastrzeżeniem nierozpraszania go i z możnością złożenia, „nie wyrzekając się własności, w jakiem muzeum publicznem". Zbiór zaś listów i cała korespondencya, z wyjątkiem listów familijnych, oddane być mają Bibliotece Uniwersytotu Jagiellońskiego w Krakowie.

Wystawa hygieniczna. Zarząd wystawy hygienicznej poczynił już na Placu Ujazdowskim wszelkie przygotowania do jej otwarcia, które ma nastąpić w dniu 15 b. m. Przystąpiono też już do układania katalogu wystawy. Ogólna liczba deklaracyj wynosi z górą 300; z tych zaś 30 pochodzi z zagranicy a 50 z prowincyi.

Zapisy na pożyczkę 4% wewnętrzną wyniosły w Warszawie, po ścisłem sprawdzeniu, 27,928,300 rubli. Zapisało się zaś ogółem osób — 1,900.

Pożądane. Z powodu zbliżającego się jarmarku wełnianego, zarządzający Oddziałem Banku Państwa, baron Driesen, uwzględniając życzenia producentów wełny, postanowił wprowadzić kilka zmian w urządzeniu jarmarcznem, między któremi, jedna zwłaszcza godną jest zaznaczenia. Mianowicie, z inicyatywy barona Driesena, po porozumieniu się z p. Oberpolicmajstrem m. Warszawy, mają być wydane przepisy, ograniczające działalność faktorów i pokątnych meklerów, wyzyskujących w sposób niegodny producentów.

Nie potrzebujemy dowodzić, jak dalece inowacya ta była oddawna pożądaną.

Wyjaśnienie. Z powodu wzmianki o zgonie ś. p. Andrzeja Kochanowskiego z Kołacina, podanej w „Roli" za innemi pismami, otrzymujemy od szan. prof. Plenkiewicza list z następującem wyjaśnieniem:

„Szanowny Panie Redaktorze! W N rze 18 „Roli", w rubryce: „Kronika bieżąca krajowa i zagraniczna", pomieszczoną została wiadomość następującej treści: „Ś. p. Andrzej Kochanowski, o s t a t n i p o t o m e k, w p r o s t e j l i n i i, Jana z Czarnolesia, zmarł w dniu 8 Kwietnia r. b. w dobrach własnych Kołacin w powiecie Brzezińskim".

„Ponieważ o naszym poecie, pomimo wielu prac źródłowych, wyjaśniających jego życie i domowe stosunki, upowszechniło się wśród naszego społeczeństwa bardzo wiele fałszywych wiadomości, jak np. powtarzana za Klementyną Hoffmanową (powieść: Jan Kochanowski w Czarnolesiu), że się doczekał córek dorosłych, kiedy tymczasem, podług najpewniejszych wskazówek, bo z dat rezygnacyj z probostw poznańskiego i zwoleńskiego, nie mógł wcześniej jak w roku 1575 pojąć Doroty Podlodowskiej, a tem samem, umierając w roku 1584, potomstwa dorosłego zostawić; — przeto pozwoli Sz. Pan że i wiadomość, jakoby ś. p. Andrzej Kochanowski był ostatnim potomkiem w prostej linii od Jana z Czarnolasu idącym, w imię prawdy historycznej sprostuję.

Poeta nasz pozostawił cztery córki: Ewę, Poliksenę, Halszkę i Krystynę, a nie Ludwinę (!), Dorotę i Marychnę, jakie na miejsce trzech ostatnich, nie mając aktu podziałowego majątku poety z r. 1597, wprowadziła Hoffmanowa do swej powieści. O tym akcie, w którym Ewa występuje już jako małżonka Filipa Owadowskiego, można najdokładniej się przekonać z pracy źródłowej ks. Józefa Gackiego, p. t. „O rodzinie Jana Kochanowskiego, o jej majętnościach i fundacyach, kilkanaście pism urzędowych". Warszawa, 1869, str. 95. W akcie tym, zapisanym w księdze 19 ob-

lationum, niema wzmianki o żadnym potomku męzkim, któregoby nie pominięto, gdyby istotnie pozostawał wtedy przy życiu. Jakoż po śmierci poety, przyszedł po nim na świat „jedyny posthumus“, jak go nazywa Jan Januszowski, w przedmowie do pierwszego zbiorowego wydania dzieł J. Kochanowskiego, z r. 1585 (ob. Jana Kochanowskiego Dzieła wszystkie.—Wydanie pomnikowe. — Warszawa, 1884. T. II, str. VII); ale już w przedmowie do wydania dzieł poety, z r. 1598, tenże Januszowski wyraża się, iż „śmierć żałosna zajrzała nam onego wielkiego Jana Kochanowskiego“ i zarazem dodaje: „a tym żałośniejsza, że i jedynego posthuma za nim porwała“. Wobec takich przeto dowodów, pochodzenie ś. p. Andrzeja w prostej linii od autora Trenów żadną miarą ostać się nie może. Prawdopodobnie był on potomkiem jednego z pięciu jego braci, lub którego z Kochanowskich linii bocznej, ale nigdy poety. Nie uwłacza to zmarłemu, a czyni zadość wymaganiom prawdy, dla której zawsze i wszędzie poszanowanie mieć należy.

„Łączę wyrazy głębokiego poważania

Roman Plenkiewicz.

Złe—w zgromadzeniu slusarzy. Przykry nader fakt ze stosunków naszych zgromadzeń rzemieslniczych notują dzienniki. W zgromadzeniu slusarzy administracya i szafowanie funduszami cechu prowadzonem jest w sposób równie niedbały jak oburzający. Zapomogi, zamiast wdowom i sierotom po majstrach pozostałym, udzielane są członkom cechu, a nawet członkom urzędu starszych (!) nie kwalifikującym się bynajmniej do wsparć tego rodzaju. Rachunki przytem prowadzone są niedbale i niewłaściwie. Dość wspomnieć, że przy sprawozdaniach, z użycia funduszów nie są przedstawiane ani kwity, ani jakiekolwiek dowody, usprawiedliwiające dane wydatki na potrzeby cechu. Wreszcie, znaczna część funduszów obracaną jest na... libacye, urządzane przy każdej okazyi najmniejszej, jak np.: po pogrzebie zmarłego członka, po sesyi tygodniowej, po wotywie cechowej i t. p.

Widząc całą tę smutną i uwłaczającą całemu cechowi slusarskiemu gospodarkę, jeden z inteligentnych majstrów, człowiek pełen dobrej woli, p. Szewczykowski wystąpił na ostatniej sesyi z projektem odpowiednich zmian w urządzeniu wewnętrznem i zwyczajach cechu, przy pomocy których mógłby tu być wprowadzonym nareszcie jakiś ład i porządek. Pan Szewczykowski, ze strony amatorów... libacyi, ściągnął wprawdzie na siebie nieby walą burzę, lecz to go zrażać ani zniechęcać nie powinno. Owszem, powinienby dążyć stanowczo do przeprowadzenia uczciwej swojej myśli, a jednym ze środków najskuteczniejszych, jak w tym razie, byłaby zmiana urzędu starszych. Trzechlecie panowania urzędu dzisiejszego już upłynęło, czyli że wybory na nowe trzechlecie nastąpić muszą wkrótce. Byłoby więc bardzo pożądanem, aby wszyscy dobrze myślący członkowie zgromadzenia, porozumiawszy się wzajemnie, powołali na urząd starszych ludzi takich, którzyby zadaniu dobrych gospodarzy i kierowników cechu odpowiedzieć umieli. I dobro zgromadzenia i godność rzemieślnika polskiego stanowczo tego wymagają.

Z prasy. „Kuryer Codzienny“ ogłosił, że wydawnictwo tego pisma przeszło na własność pp. Gebethnera i Wolffa. Równocześnie zaś „Kuryer Warszawski“ pomieścił następujące zawiadomienie: „W dniu 2-gim Maja r. b., pp. Gebethner i Wolff, właściciele księgarni, sprzedali dotychczasowy udział swój w „Kuryerze Warszawskim“ wdowie i dzieciom po ś. p. Wacławie Szymanowskim, redaktorze i kierowniku pisma w ciągu lat 20-tu, któremu „Kuryer“ głównie swój rozwój, kierunek, wpływ i stanowisko zawdzięcza. Sukcessorowie ś. p. Wacława, obejmując dzisiaj w całości spuściznę po drogim im mężu i ojcu, przy udziale wiernych jego współtowarzyszów pracy, nadal „Kuryera Warszawskiego“ w duchu przez niego im przekazanym prowadzić będą.“

Według wieści przez inne pisma podanych, do skupienia udziału firmy: Gebethner i Wolff użyczyło rodzinie Szymanowskich kapitału kilka osób, w których gronie wymieniają i — pana Salomona Lewenthala.

Sztuki plastyczne. Matejko wykończył nowy obraz: „Iwo Odrowąż, poświęcający kamień węgielny pod kościół“.

Do Poznania nadszedł już medalion bronzowy Kochanowskiego, wykonany przez artystę Brodzkiego i ofiarowany przezeń na pomnik wieszcza, mający stanąć na placu katedralnym.

Z teatru. Nowa komedya pana Kazimierza Zalewskiego nosi tytuł: „Małżeństwo Apfel“; sztuka ta ma być przedstawioną niezadługo na scenie teatru Letniego.

Teatr krakowski przygotowuje sztukę p. Rapackiego p. t. „Bogusławski i jego scena“.

Burza. W ubiegłą Środę, nawiedziła Warszawę i jej okolice straszna burza gradowa, jakiej od roku 1857, a więc od lat 30 stu nie widziano. Średnia wielkość kul gradowych równała się wielkości małego jabłka, a były też okazy daleko większe. Burza trwała zaledwie kilka minut, a przecież szkody jakie przez tak krótki czas poczyniła, są istotnie olbrzymie. Nie mówiąc już o niezliczonej ilości wybitych szyb w domach, w gmachach prywatnych i rządowych, wszystkie sady i ogrody podmiejskie uległy w znacznej części—zniszczeniu. Nie brakło też wypadków z ludźmi, nie obeszło się bez kalectw a nawet śmierci. Zresztą w chwili gdy to piszemy, skutki tej katastrofy nie dają się nawet w przybliżeniu obliczyć, zwłaszcza iż z okolicy Warszawy jak również z miejscowości, przez które ciągnął ów huragan gradowy, brak jeszcze wiadomości.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu K. Pl. w Warsz. — O zmianach zaszłych w Kuryerach pomówimy w numerze przyszłym—przyczem i uwagi sz. pana uwzględnimy chętnie, gdyż są słuszne zupełnie.

Sz. ks. Janowi Galicz w Kluszwianach, gub. Wileńs. — Owszem, odpowiadamy najchętniej i najszczerzej: co do 1-go: dzięki serdeczne za dobre i życzliwe słowo. Co do 2-go: czynimy to w stosownej porze i w miarę środków, gdyż wydawca „Roli“ nie jest kapitalistą, a za mozolną i w najtrudniejszych warunkach prowadzoną pracę otrzymuje wynagrodzenie mogące mu wystarczyć zaledwie na możliwie skromne utrzymanie rodziny i — o co mu przedewszystkiem idzie — *niezależności* pisma. Co do 3-go: taki pierwotnie być *musiał*, obecnie zaś o zmianie myśleć niepodobna... Co do 4-go: dziękujemy za zwrócenie uwagi, a właściwie za przypomnienie; będziemy mieli i korzystać nieomieszkamy. Co do 5-go: Rozszerzenie ram „Roli“ i w ogóle powiększenie objętości pisma jest jednem z najgorętszych życzeń naszych, sami bowiem widzimy tę konieczność; zależy to jednak niemal wyłącznie od poparcia ludzi podzielających przekonania nasze i uznających pożytek naszej pracy; na poparcie bowiem przez prasę, pozostającą, po największej części, w ręku zasadniczych przeciwników naszych, nic liczyć nie możemy. Tymczasem, niepodobna nam pozbywać się rubryki ogłoszeń, jako stanowiącej jednę z ważnych pozycyj dochodowych pisma stojącego o własnych tylko siłach, a co mu zresztą—tylko na pożytek wychodzi. Co do 6-go: Ważniejsze i bardziej charakterystyczne pomieszczamy, zwyczajnemi nie chcielibyśmy zajmować miejsca, zwłaszcza że o całym szeregu najważniejszych, czyli właściwie o całej organizacyi wyzysku nieszczęśliwego, zaślepionego społeczeństwa, mówimy obszerniej w „Gospodarce finansistów warszawskich“. Co do 7-go: Prospekta wysyłamy, dziękując raz jeszcze za widoczną życzliwość.

Sz. ks. prob. Achajewskiemu w Opolu. — Zaprenumerowane, na co mamy dowód w książce pokwitowań. Adres: Chmielna 26. Uwaga co do tytułów najzupełniej słuszna; przeprowadzenie wszakże rzeczy tej w praktyce ze względu na samą siłę zwyczaju wydaje nam się niemożliwem.

P. S. K. w Pł. — Życzenie słuszne i stanie mu się zadość. Istotnie właściciel statków parowych na Wiśle, p. Górnicki zasługuje stanowczo na poparcie publiczności polskiej. Najpierw bowiem dzięki tylko jemu zniesionym został ów kosztowny monopol przedsiębiercy staro-zakonnego, a publiczność płaci obecnie za podróż statkiem przeszło o dwie trzecie — taniej; powtóre zaś ma on ciągle do zwalczenia zawziętą i nieprzebierającą w środkach konkurencyę żydowską, o czem zresztą pomówimy jeszcze w numerze najbliższym. Brakujący Nr. 13 wysyłamy powtórnie. Za pamięć dzięki.

REKLAMY.

„Etoile Belge“ podaje następujący artykuł:

Osoby, których płuca i gardło wrażliwe są na zmiany temperatury, nie cieszą się ogólnie zbyt silnym organizmem.

Kapsulki Guyot'a używają się zwykle w tego rodzaju dolegliwościach, jako posiadające właśnie ten przymiot, iż dają się z łatwością trawić przez najdelikatniejsze żołądki.

Zauważyliśmy, iż bardzo często po kilkodniowem używaniu ich, nietylko że doznawano znacznej ulgi w cierpieniach płucnych, lecz nadto wzmagał się apetyt. We wszelkich wypadkach kapsulki Guyot'a nie zaszkodziły nikomu, a tysiące ludzi znalazło zupełne wyzdrowienie po ich użyciu. Ponieważ skuteczność tego środka zależy od dobrego wyrobu i czystości użytych substancyj, przeto żądać trzeba, aby kapsulki były białe, z wycisniętym podpisem wynalazcy E. Guyot. (20) 1—1

EKONOM

„na stół“ lub na ordynaryę zdolny gospodarz posiadający najchlubniejsze świadectwa, tak z Królestwa jak i z Poznańskiego, poszukuje obowiązku. Oferty uprasza się składać pod literami W. M. w redakcyi „Roli“. 3—2

Narzędzia miernicze

po zmarłym Jeometrze są do nabycia: Wiadomość Bielańska Nr. 9 (hotel Paryzki) w Czytelni 2 giej J. Jeleńskiego.

OGŁOSZENIA.

Zakład Brązowniczy G. Roszkowskiego, **Długa Nr. 25** (Eldorado), wykonywa specyalnie wyroby kościelne, Żyrandole, Lichtarze piękne brązowe, Monstrancye, Formy do opłatków, Świeczniki, oraz przyjmuje stare przedmioty do odzłacania i srebrzenia. (4—4)

Główny Skład Dywanów

GIEŁŻYŃSKIEGO PIOTRA, ulica Marszałkowska Nr. 137 52-18

(10-ty dom od ogrodu),

poleca w wielkim wyborze: **Dywany** najrozmaitsze, **Serwety, Chodniki, Kołdry, Dery** i t. p. **JUTY** i **WEŁNY na pokrycia meblowe, Kretony** Fabryki „Zawiercie". Ceny fabryczne. PP. Handlującym rabat.

52—18

Fabryka i Magazyn
Józefa BETCHERA
JUBILERA
TEATRÓW RZĄDOWYCH
Sprzedaje
Wyroby Złote, Srebrne
i Brylantowe
Najtaniej
Z czem się poleca
Marszałkowska 139
8-my dom
od Ogrodu Saskiego.

Fabryka Narzędzi Chirurgicznych 52-18
i wszelkich stalowych ostrych, oraz Bandaży

I. Jodłowskiego

Bielańska Nr. 5. — Filja: Marszałkowska Nr. 137

(9-ty dom od ogrodu).

poleca wielki wybór narzędzi **chirurgicznych, weterynaryjnych i nożowniczych**—oraz przyjmuje wszelkie obstalunki i reperacye po cenach najumiarkowańszych.

KRAWIEC

A. GOBIEC — znany z sumiennego wykonywania robót, obecnie **Marszałkowska 139** — przyjmuje, jak zwykle, wszystkie obstalunki, tak z własnych jak z łaskawie powierzonych materyałów, wykończając pospiesznie i tanio. (6—3)

CZAPKI wojskowe, mundurowe, uczniowskie, liberyjne, wioślarskie i cywilne, z wyborowego materyału, **korzystnie kupować**

u **W. Truchlińskiego** 12—1

dostawcy Teatrów Rządowych, Dróg Żelaznych i wielu Szkół

Marszałkowska Nr 139.

Czapki wojskowe i cywilne, na ostatnich dwóch wystawach odznaczone zostały medalami za dokładne i piękne wykończenie.

DO SPRZEDANIA

Dom Murowany Piętrowy 3—1

z oficynami, ogrodem i zabudowaniami gospodarskiemi, w osadzie **Sulejów**, dwie mile od **Piotrkowa**—przy samej szosie, w środku rynku.

Do posesyi tej **należy służebność leśna**. Wiadomość — **Piwna Nr. 2**, u właściciela domu.

Połączone Fabryki

WYROBÓW PLATEROWANYCH I NOWEGO SREBRA

NORBLIN i Spółka — BRACIA BUCH

w Warszawie, Żelazna Nr. 51,

wykonywają, obok wszelkich przedmiotów tak do ozdoby jak i do domowego użytku służących, **w wielkim wyborze wszelkie aparaty i naczynia kościelne**, podług własnych, jakoteż i dostarczonych modeli i rysunków.

Obficie we wszelkie towary zaopatrzone Magazyny fabryczne znajdują się: W **Warszawie**—Krakowskie-Przedmieście Nr. 67, róg Wierzbowej i Niecałej; w **Moskwie**—ul. Nikolska dom hr. Szeremietiewa i Kuznieckij Most, dom Torleckiego; w **Petersburgu** — Newski prospekt Nr. 26; w **Rydze**—ul. Kaufstrasse, dom Witte; w **Odessie**—Deribasowska ul.; w **Charkowie**—Szlapnoj pereułok; w **Kijowie**—na Kreszczatiku Nr. 25; w **Rostowie nad Donem**—u I. Reicyna.

Fabryka posiada na składzie i sprzedaje **Blachę Mosiężną** i z **Nowego srebra**.

Cenniki illustrowane wysyłają się na każde żądanie, franco. (6—6)

MAGAZYN UBIORÓW MĘZKICH

J. WĄGROWSKIEGO

w Warszawie

Długa Nr. 27 (25) vis-à-vis Hotelu Drezdeńskiego.

Zaopatrzony w wielki wybór materyałów krajowych i zagranicznych z najpierwszych fabryk,—a także posiada znaczny zapas gotowej garderoby **po cenach umiarkowanych**, a mianowicie:

Palta zimowe	od rs. 22	Spodnie	od rs. 5
Garnitury marynarkowe	„ 22	Kamizelki	„ 2.50
Surduty wizytowe	„ 20	Burki Sławuckie	„ 22
Garnitury tużurkowe	„ 28	Szlafroki	„ 12

oraz wielki wybór materyałów sztuczkowych na kamizelki od 3 do 12.

Wszelkie obstalunki wykonywają się na żądanie w ciągu 24 godzin. 12 8

Polski Kantor Bankierski
RADZISZEWSKI i S-ka (52-17)
WARSZAWA — HOTEL EUROPEJSKI.

J. TUROWSKI MALARZ-DEKORATOR ROBÓT KOŚCIELNYCH I POKOJOWYCH ORAZ WSZELKIEGO RODZAJU ROBÓT ZWYCZAJNYCH. (52-16)
Nowy-Świat Nr. 23.

Specyalna Fabryka i Magazyn
BIELIZNY **L. GAŁKOWSKIEGO** w Warszawie,
Marszałkowska Nr. 133,
róg Ś-to Krzyzkiej.

Poleca — w wielkim wyborze:

Koszule męzkie, odznaczające się **najlepszym krojem i wykończeniem**, — **Kołnierzyki i Mankiety** w najnowszych fasonach.—**Kalesony, Skarpetki i Szelki**,—Wielki wybór **Krawatów, Szpilek i Spinek** najmodniejszych.—**Chustki** na szyję jedwabne i półjedwabne, oraz **Chustki** do nosa, zawsze w wielkim wyborze.—**Wyroby trykotowe** wełniane i bawełniane. **Kaftaniki siatkowe hygieniczne**, oraz wyroby wełniane D-ra Jaegera.

Wszelkie zamówienia wykończają się starannie i spiesznie, **po cenach stałych, możliwie nizkich**, p. p. handlującym ustępuje się rabat.

„Najlepszy krój Koszul męzkich." 52—33

HURTOWO-DETALICZNY
SKŁAD WYROBÓW TABACZNYCH
PAWŁA KOŁODZIEJSKIEGO i S-KI
przy ulicy Nowy-Świat Nr. 51 (róg Wareckiej). 10—2

Poleca: wielki wybór cygar, tytoniu i papierosów, z wszystkich fabryk rossyjskich i miejscowych, oraz gilzy własnej fabryki, z prawdziwej francuzkiej bibułki „ABADIE".
Dla P. P. Handlujących odstępuje towar na najkorzystniejszych warunkach.
Cenniki na żądanie franco.

SKŁAD PŁÓTNA, HAFTÓW I BIELIZNY
A. W. WILCZEWSKIEGO
Egzystujący w ciągu lat 22 w gmachu Resursy Obywatelskiej,
przeniesionym został na ulicę **Nowy-Świat Nr. 57**
i poleca w znacznym wyborze:

PŁÓTNA ręczne, na trawie bielone	od rs.	16,00	sztuka	do najwyższych gatunków.
„ prześcieradłowe	„ „	0,50	łokieć	
GARNITURY na 6 osób	„ „	4,50		
„ „ 12 „	„ „	9,50		
„ „ 18 „	„ „	32,00		
„ „ 24 „	„ „	45,00		
PRZEŚCIERADŁA bez szwu	„ „	1,00		
RĘCZNIKI	„ „	4,50	tuzin	
SKARPETKI	„ „	4,50	„	
POŃCZOCHY	„ „	7,50	„	
KAFTANIKI	„ „	1,20	sztuka	
CACHENEZ jedwabne	„ „	1,20	„	

KOSZULE męzkie, znane z wyborowego kroju od rs.		1.65	sztuka	do najwyższych gatunków.
CHUSTKI płócienne	„ „	3.00	tuzin	
KRAWATY męzkie	„ „	0,25	sztuka	
FIRANKI angielskie	„ „	0,28	łokieć	
PERKALE	„ „	0,10	„	
POŁPŁOTNA na łokcie	„ „	0,15	„	
POŁPŁOTNO na sztuki	„ „	4,00	sztuka	
DYMKI	„ „	0,17	łokieć	
BARCHANY	„ „	0,20	„	
MUŚLINY	„ „	0,45	„	
KOŁDRY pikowe	„ „	7,50	para	

HAFTY francuzkie i szwajcarskie, w wielkim wyborze. — **BIELIZNA** gotowa damska i męzka. — **NEGLIŻE.**
FIRANKI odpasowane, etc. etc., od cen najniższych.

Całe wyprawy wraz ze znaczeniem **od rs. 200.**
CENY ŚCIŚLE STAŁE. 3—2

Dla kaszlących i osłabionych
EKSTRAKT i KARMELKI miodo-ziołowo-słodowe
Fabryki **„LELIWA"**,
w Warszawie, **ul. Zgoda Nr. 6,**
analizowane i uznane przez Radę Lekarską. Sprzedaż w aptekach i składach aptecznych w Warszawie, Królestwie i Cesarstwie, 50% tańsze od niemieckich, flaszka ekstraktu kop. 75, paczka karmelków kop. 15. 52—13

PŁASZCZE GUMOWE
dla Dam, Męczyzyn i Dzieci
KUFRY, WALIZY, TORBY
oraz
wszelkie przybory do podróży
poleca
FABRYKA
T. L. BREYMEYER, Warszawa
Królewska Nr. 1 róg Krak.—Przedm.
52-37

HURTOWY SKŁAD WIN
i LIKIERÓW ZAGRANICZNYCH
KOTECKIEGO i SCHOBERA
w Warszawie
przy ulicy Leszno Nr. 14.
Zawiadamia, Szanowne Duchowieństwo i p. p. Kupców, że ulegając coraz więcej żądaniom utrzymywania **Win Russkich**, na które prąd czasu bardziej zwraca uwagę, przy naszym Składzie Win zagranicznych zaprowadziliśmy i Wina Krymskie, Kachetyńskie oraz mussujące z fabryk russkich, a zaopatrzywszy się o ile możności z pierwszych źródeł, ręczyć możemy za ich czystość.
Cenniki na żądanie chętnie przesyłamy; sprzedaż tych Win uskuteczniamy za gotówkę lub na zaliczenia (Nachnahme) wszystkich dróg żelaznych. (6-1)

Treść numeru: Gospodarka finansistów warszawskich (Serya III) VIII.—Lud w świetle jego rzeczników (dok.)—Francya zżydziała (d. c.)—Ideały belletrystyki pozytywnej (d. c.)— Na posterunku, feljeton Kamiennego – Z całego świata. — Godne naśladowania.—Kronika bieżąca krajowa i zagraniczna.—Odpowiedzi redakcyi.—Ofiary.— Ogłoszenia.— **W odcinku:** Przez dolinę łez, powieść J. Rogosza (d. c.).—**W Dodatku** Sprawozdanie handlowe.—Ogłoszenia.

Redaktor i Wydawca **Jan Jeleński.** *Дозволено Цензурою.—Варшава* 23 *Апрѣля 1887 г.* (Drukiem „WIEKU" Nowy-Świat N-r. 61)

Patrz Dodatek